Nr. 36. Warszawa, dnia 9 Września (28 Sierpnia) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Zwracamy uwagę na nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.

POLITYKA.

NOWE SZKOŁY.

Pisma doniosły, że p. Kurator okręgu naukowego warszawskiego podczas bytności swojej w Włocławku przyjmował deputacyę miejską w sprawie otworzenia tam nowej szkoły wzamian za przeniesioną do Kalisza sześcioklasową realną. Za najstosowniejszą uznał trzyklasową szkołę miejską z kursem sześcioletnim. Wiadomość tę stwierdza pośrednio *Nowoje Wremia*, które w korespondencyi z Warszawy zajmuje się szczegółowo szkolnictwem tutejszem. Według tej gazety, kraj nasz znajduje się w przededniu szeregu reform, których zapowiedzią jest przekształcenie Instytutu rolniczo-leśnego w Nowej Aleksandryi i przeniesienie szkoły realnej do Kalisza. Mieszkańcy gubernii kaliskiej — powiada *N. Wremia* — jednej z pierwszych w kraju pod względem ludności i obrotów handlowych oddawna już starali się o to, a prośba ich była najzupełniej słuszną, gdyż gubernia warszawska posiadała aż trzy tego rodzaju szkoły w niewielkiej od siebie odległości, kaliska zaś — tylko jedno gimnazyum klasyczne. Zasadniczym celem wszystkich projektowanych reform jest podniesienie poziomu wykształcenia zawodowego w guberniach Królestwa Polskiego. Ażeby go osiągnąć, postanowiono zamknąć istniejące tu progimnazya męzkie, a natomiast otworzyć: szkołę handlową, mechaniczno-budowniczo-techniczną oraz ogrodniczą w Warszawie, szkoły rolnicze w gubernii suwalskiej, w Maryampolu i Końskowoli (około Nowej Aleksandryi), górniczo-techniczną w gubernii kieleckiej; dalej zreformować wyższą szkołę rzemieślniczą w Łodzi i zamienić ją na przemysłowo-techniczną odpowiednio do potrzeb okręgu fabrycznego łódzkiego; powiększyć liczbę szkół miejskich i wprowadzić do nich naukę rzemiosł.

Zdaniem korespondenta gazety petersburskiej na utrzymanie tych zakładów potrzeba będzie rocznie około 210,000 rs., nie włączając w to szkoły ogrodniczej, której koszta zaczerpnięte być mają z osobnego źródła. Po za tym planem ministeryum dóbr państwa otwiera w powiecie garwolińskim (gubernii siedleckiej) niższą szkołę rolniczą z funduszów zapisanych przez hr. Kickiego a jednocześnie zamierza rozszerzyć szkołę górniczą w Dąbrowie. „Otworzenie całego szeregu szkół zawodowych i rozszerzenie istniejących — kończy *N. Wremia* — wywoła zwrot w życiu kraju tutejszego, ponieważ dotychczas wykształcenie profesyonalne było w guberniach Królestwa Polskiego uorganizowane bardzo słabo. A zwrot ów będzie tem silniejszy, że obok założenia nowych i rozszerzania dawnych szkół istnieje projekt skłonienia przemysłowców i cechów rzemieślniczych do otwierania przy fabrykach niższych szkół zawodowych, które by przygotowały odpowiednich majstrów.“

N. Wremia ma zupełną słuszność, że kraj nasz potrzebuje znacznego przydatku szkół i to głównie w kierunku zawodowym. My tak ściśle połączyliśmy pojęcie wykształcenia i karyery z pojęciem nauki gimnazyalnej, że dopiero statystyka zaczęła nam otwierać oczy na naszą słabą wytwórczość a smutne doświadczenia wskazywać inne drogi. Należy przyznać, że zwrot w przekonaniach wyprzedził możność wejścia na inną drogę. Już dziś nie wyjątkowe jednostki, ale oświeceńsze żywioły społeczeństwa rozumieją, że dwa szlaki, do których bramę stanowi gimnazyum, nie są jedynymi gościńcami szczęścia; że to szczęście daleko bezpieczniej i pewniej znaleźć można w ukształceniu zawodowem; że kraj posiada nadmiar patentowanych spożywców, a niedostatek uzdolnionych wytwórców; że przed młodzieżą naszą leżą pola pracy, na które manna z przepiórkami nie spada, ale które w każdym razie obiecują plon lepszy, niż szybko schnące laury dyplomów prawno-medycznych. Obraz był aż nadto wymowny, ażeby mógł być niedostrzeżony: obok tłumu rąk daremnie ofiarujących się do zajęcia występował brak rąk do czegoś uzdolnionych. Nie mieliśmy ani ukształconych oficyalistów rolnych, ani ogrodników, ani majstrów w najrozmaitszych gałęziach produkcyi, i albo zastępowaliśmy ich zbieraniną do wszystkiego gotową a do niczego nieprzygotowaną, albo sprowadzaliśmy specyalistów z zagranicy. Z tego położenia mogły nas wydobyć tylko szkoły, których dotychczas nie było, a które teraz być mają.

Rzecz naturalna, że nie można się łudzić nadzieją jakiegoś głębokiego przełomu w pojęciach, który znaczną część kandydatów do gimnazyum odrazu wepchnie do szkół zawodowych. Ale naprzód pewien ich procent rzeczywiście porzuci studya filologiczne dla przemysłowych lub ogrodniczych, powtóre zaś niższe klasy skorzystają z nowych instytucyj w sposób dla siebie właściwy i korzystny. Dziś mały urzędnik, dzierżawca, rzemieślnik, oficyalista prywatny, pragnący kształcić syna, myśli tylko o gimnazyum; na przyszłość może pomyśli dla niego o szkole zawodowej. Zastanówmy się tylko: czy to nie jest np. dziwaczną anomalią, ażeby kraj rolniczy nie posiadał ani jednego ekonoma lub karbowego, któryby ukończył szkołę rolniczą, ażebyśmy w bardzo trudnych zajęciach posługiwali się ludźmi, którzy często nie umieją pisać i co najwyżej nabyli rutynicznej praktyki? A ileż dziedzin gospodarstwa społecznego przedstawia podobny widok!

Niechaj więc tym razem wróżba gazety petersburskiej najzupełniej się sprawdzi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cholera zaczyna coraz bardziej upominać się o znaczenie czynnika politycznego, wpływającego na stosunki międzynarodowe. Z wyjątkiem Szwecyi, Norwegii i Danii zajęła ona już całą Europę i grasuje w niej może z większą srogością, niż twierdzą telegramy. Zwłaszcza bowiem te kraje, które — jak Niemcy, Francya, Włochy — korzystają z napływu cudzoziemców — kryją prawdę, która wyłazi jednak szydłem z ich rozporządzeń sanitarnych. Obawa wpadnięcia w ognisko epidemii oraz utrudnienia graniczne paraliżują swobodny ruch ludności i skutkiem tego oddziaływują na politykę.

Dodatkowe wybory do Izby francuskiej odbyły się z większą zaciekłością, niż główne. Ostatecznie wypadły one w duchu poprzednich, a najważniejszym ich rezultatem jest przegrana kilku osobistości wybitnych, jak: Floquet, Clemenceau, Cassagnac i inni. Ze sprzecznych doniesień telegraficznych niepodobna jeszcze ściśle oznaczyć liczebnego stosunku stronnictw przyszłej Izby, w każdym razie republikanie umiarkowani będą w niej mieli dużą przewagą (około 300 głosów). Innemi słowy: Francya nie chce ani wojny, ani rewolucyi, ani nawet zbyt głębokich reform, lecz chce w pokoju robić dobre interesy. Jej wybory są wyrazem dążeń oportunistyczno-praktycznych.

Prasa angielska nie przestaje dzwonić na alarm, ogłaszając, że Francya postawiła Syamowi nowe warunki, nad którymi pozwoliła mu rozmyślać trzy miesiące i że usiłuje faktycznie zawładnąć całym krajem. Ministrowie angielscy uspokajają opinię, że prowadzą obecnie układy z sąsiadką, z których są zadowoleni — o czem można wątpić.

Dnia 13 października ma przybyć do Tulonu eskadra ruska, która będzie przyjęta z nadzwyczajną uroczystością. Ma być na niej obecnym Carnot, chociaż pogłoski uparcie szerzą niepokój o jego zdrowiu.

Dość przejrzystą ilustracyą obecnych stosunków międzynarodowych są także manewry niemieckie w Alzacyi pod przewodnictwem cesarza i w obecności jego gościa następcy tronu włoskiego. Już same te manewry, przyjazd monarchy niemieckiego i królewicza włoskiego — już samo to wystarczyłoby do rozjątrzenia francuzów. Wszakże jak gdyby tych powodów było jeszcze niedość i jak gdyby potrzeba było dla nich mocniejszego akcentu, Wilhelm II wypowiedział w Metzu mowę, w której tę twierdzę nazwał węgłem potęgi Niemiec, pracujących nad utrzymaniem pokoju w Europie.

Według gazet berlińskich schwytani w Kielu francuzi są istotnymi szpiegami, u których znaleziono doskonale zrobione kopie rozmaitych fortyfikacyj niemieckich. Oddano ich trybunałowi państwowemu w Lipsku, który wkrótce (na życzenie cesarza jak najprędzej) ma ich osądzić. Jednocześnie telegraf donosi, że w Turynie złapano również francuzów, którzy zdjęli plany twierdz i fortów włoskich.

Bill irlandzki, przyjęty ostatecznie przez Izbę niższą, jest przedmiotem obrad wyższej, która go z pewnością odrzuci. Wtedy Gladstone ma zamiar naprzód zdyskredytować torysów, przedstawiwszy w parlamencie szereg wniosków popularnych, którym oni będą przeciwni, a następnie rozwiązać Izbę gmin i naznaczyć nowe wybory. Jeżeli naród poraz drugi da większość przyjazną billowi, lordowie ulegną.

BADANIA NAUKOWE.

GRANICE POLITYCZNE

ZE STANOWISKA GEOGRAFICZNO-NAUKOWEGO *).

Granice polityczne swemi jaskrawemi liniami zacierają po większej części na mapie naturalną budowę krajów; rozcinają góry, rzeki, jeziora i wybrzeża morskie. Dzieła geograficzne podają zaledwie różne cyfry, odnoszące się do tych granic, zwracają uwagę na ich zgodność lub niezgodność z granicami naturalnemi, rozróżniają granice dobre i złe. Jednakże nawet sztuczne zjawisko granic politycznych można rozpatrywać ze stanowiska naukowego, a rozpatrywanie takie prowadzi do wielu ważnych rezultatów.

Za punkt wyjścia najlepiej wziąć takie granice, które spotykamy w naturze, a które są w pewnym stosunku do granic politycznych, jak np. granice etnograficzne, kulturalne, gospodarcze, granice rozprzestrzenienia pewnych istot organicznych (roślin i zwierząt). Obszar rozprzestrzenienia obejmuje ogół istot organicznych, które w swem rozprzestrzenieniu zostały w pewnych punktach wstrzymane; połączenie tych punktów tworzy granicę obszaru. Każda więc granica oznacza *powstrzymanie ruchu.*

Granica polityczna ogranicza też pewien obszar rozprzestrzenienia i posiada wszystkie własności, które charakteryzują granice obszarów innych żyjących istot na ziemi. Granice te są zależne od kulistego kształtu ziemi, dalej od nierówności jej powierzchni, rozkładu lądów i wód: góry i morza wywierają wpływ na granice polityczne zarówno jak na granice rozprzestrzenienia roślin i zwierząt. Góry i morza są uważane za „dobre“ granice.

Granica jest dalej zależna od ruchu, który na niej ustaje. Weźmy np. granice lasów i firnów w górach. W pierwszej ustaje ruch ku górze, w drugiej ku dołowi. Po za właściwą granicą spotykamy forpoczty: pojedyncze drzewa, pojedyncze płaty śniegu. Tym sposobem możemy rozróżniać granicę klimatyczną, zależną od klimatu i granicę etnograficzną, zależną od plastyki i natury gruntu. Granica lasów nie jest granicą drzew.

Podobnie rzecz się ma z granicami ludów i państw: po za polityczną granicą Niemiec w obszarze Królestwa Polskiego znajdują się kolonie niemieckie i odwrotnie, obszary zamieszkane przez narodowość polską znajdują się w obrębie państwa niemieckiego. *Granica więc właściwie nie jest linią, lecz pasem*, tak iż możemy rozróżniać dwojaką granicę etnograficzną:

*) Według odczytu Ratzla na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego jenajskiego.

15)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

XXI.

Dużo upłynęło czasu, a smutne i dziwne były koleje świata; zarówno cygan — Tomasz, jak i Carolus Magnus włóczyli się znowu po drogach.

Carolusa uwiodła dziewczyna.

Na imię jej było Kachna. Spotkała Carolusa w Ramstadsheia i zakochała się; potem zadała mu lubczyku na miłość i od tego dnia chłopak był zgubiony.

Odciągała go zawsze od pracy. Coraz częściej towarzyszył jej w wędrówkach. Wkrótce pokazało się, że pod sercem Kachna nosi coś, co jego było własnością, stąd zaś wypadło, że przystał do niej na zawsze.

Wtedy cygan — Tomasz zmartwił się się bardzo; Carolus był jedyną jego pociechą. Teraz — w przekonaniu Tomasza — wszystko przepadło.

Nadto źle mu się wiodło. Żył ze znachorstwa, trochę z żebraniny, słowem, wprawiał się do bytu próżniaczego. Chata jego przeistoczyła się na miejsce stałego przytułku dla włóczęgów, zachodzili do niej wszyscy dobrzy, starzy znajomi, z nimi wróciły karty i gorzałka, tak że cygan Tomasz o szlachetnych postanowieniach swoich zapominał. Żona zaś jego, która wskutek ciągłego wylegiwania się zachorzała, ratunku zaczęła szukać w kieliszku; nareszcie, dla miłego spokoju, codziennie musiano jej dawać wódki.

I dzieci go zawiodły. Najstarsza myślała tylko o „konfirmacyi“ a potem „postara się o dziecko“ i puści się w drogę. To też, długo nie czekając, przystała do niejakiegoś Didrikrena i poszła w daleki świat.

Dwoje młodszych, Elza i Fryderyk, kręcili się po chacie, ucząc się wszystkiego złego. Kradli wódkę i pili, wałęsali się przed domem, naśladując we wszystkiem starszych, bawili się w bójki, w kochanie i w inne głupstwa, takie, że cygan — Tomasz wybiegał do nich nieraz w ojcowskim swoim gniewie i bił, bił na śmierć prawie. A potem matka, pijana, nieprzytomna biła znów Tomasza bez litości. Nie najlepszy tedy przykład miały dzieci przed oczami.

Aż wreszcie nadszedł ciężki dzień, w którym Tomasz stracił żonę. Wskutek niezbadanych wyroków bożych, zmarła pewnego poranku, wśród obłędu opilczego, a mimo to, że pod niejednym względem był to traf szczęśliwy, Tomasz spostrzegł jednak, że bez baby żyć nijako.

I twarda konieczność złej doli zmusiła go do opuszczenia wraz z dziećmi chaty, która teraz była tak pustą, zimną i smutnych wspomnień tak pełną; poczem oczywiście połączył się z Carolusem.

Wszystko szło dobrze, póki żyła matka Kachny. Pod wielu względami była ona Tomaszowi jakby żoną, nadto zaś posiadała niezwykły talent wyżywiania całej bandy; nadewszystko znała się na czarach. Ilekroć przebywali w miejscowościach odległych, wśród fjordów lub tjellów, gdzie ludzie nic nie wiedzą, zarabiała nieraz po pięć a nawet po dziesięć talarów, odmawiając uroki od dzieci lub krów, które nagle zachorowały; niejedną dobrą kość i niejedną ładną, starą suknię otrzymywała za wróżenie z kart lub za to, że dziewczętom, polującym na męża, wskazywała chłopców dla nich przeznaczonych, lub też za inne, tym podobne, drobne sztuczki. Ale oto Bóg, w niezbadanej mądrości swojej, zrządził, że i ona umarła i odtąd gromadzie wyżyć było trudno.

Prawda, że zręczną była i Kachna, żona Carolusa. Rozumiała się na takich samych, jak matka jej, sztukach i używała ich, kiedy było trzeba. Banda jednak była zbyt liczną, a czasy — ciężkie, bardzo ciężkie.

Mężczyźni do niczego byli niezdatni. Tomasz był już stary; palce stwardniały, oczy osłabły; lepszej roboty podejmować się nie mógł. Carolus uczył się wielu rzeczy, lecz mało takich, które przydaćby się mogły w życiu tułaczem. Odbywał więc jedynie wycieczki do odległych gmin, gdzie wygłaszał pobożne przemowy; tym sposobem coś zarabiał. Ale mało było miejscowości, w których by go nie znano.

1) granicę ściślejszą, granicę nieprzerwanego rozprzestrzenienia pewnego narodu; 2) granicę obszerniejszą, która obejmuje prócz tego oderwane części, leżące po za pierwszą granicą.

Granice polityczne nie są bynajmniej jednakie na całej ziemi. W Afryce np., gdzie ludy nie mają potrzeby stykania się ze sobą, owszem chcą być daleko od siebie, między poszczególnemi państwami pozostaje pas pusty, niewchodzący w żaden system polityczny; podobnież Chiny i Korea do niedawna były rozdzielone szerokim pasem, w którym nie wolno się było osiedlać pod karą śmierci; w Indochinach anglicy i francuzi nie znaleźli też żadnych granic, każdy kraj był oddzielony od drugiego pasem niezawisłym. Granice ludów pierwotnych są mianowicie uwarunkowane położeniem politycznego centrum; od tego punktu władza rozchodzi się we wszystkie strony, sięgając do pewnych punktów, stanowiących właśnie linię graniczną. Co leży po za tą linią, jest uważane jako „niczyj kraj,“ który co najwyżej bywa czasami tylko zajmowany, a następnie znów opuszczany. Tylko w Europie granice polityczne są takie, jak je sobie wyobrażamy na podstawie mapy, w Ameryce zaś południowej granice polityczne między różnemi republikami nie są bynajmniej ściśle określone i stają się z tego powodu często przedmiotem sporów. Nawet Stany Zjednoczone miały nieraz spory graniczne z Kanadą i Meksykiem, a dawniej także z Hiszpanią (we Florydzie) i Francyą (Luizyana).

Nasze granice europejskie są produktem wysokiego rozwoju nauki. Tylko z pomocą geodezyi możebnem było przeprowadzeniem tak ścisłych granic; zresztą i obecnie ulegają one nieraz udoskonaleniom. Nawet układ frankfurcki z r. 1871 nie oznaczył z całą ścisłością granic między Francyą i Niemcami; dopiero od r. 1890 istnieje ścisła granica: wyręb na wiele metrów szeroki, pośród którego znajdują się kamienie graniczne.

Państwo niemieckie posiada właściwie dwie granice: polityczną i ekonomiczną. Ekonomiczna granica Niemiec jest granicą związku celnego; granica ta, rozszerzając się z biegiem czasu, dosięgła granicy politycznej, a nawet po części przekroczyła po za nią tak, iż obecnie obejmuje ona przeszło 50 mil kwadr. więcej (Luksemburg i niektóre drobne obszary), niż polityczna. To zejście się obu granic wzmocniło je. Państwa dążą także do zjednoczenia granic etnograficznych z politycznemi, lecz niezbyt im się to udaje, jak łatwo dostrzedz z odnośnych map. Tak np. granice etnograficzne Niemiec w niektórych miejscach przekraczają granice polityczne, w Rosyi zaś nie dosięgają ich.

Dalej istnieje dążność pociągnięcia granic politycznych zgodnie z naturalnemi. Niemcy np. w walce z Francyą dążyli do oparcia swej granicy o Wogezy.

Za najlepszą granicę naturalną uważa się zazwyczaj morska. Państwa, jak Wielka Brytania i Japonia, ze wszech stron oblane morzem, są najsamodzielniejsze i najswobodniejsze w rozwoju swej politycznej potęgi, albowiem w działaniu swem nie potrzebują się oglądać (jak np. Niemcy) na to, jakie jest usposobienie państw i narodów sąsiednich. Ale i granice morskie nie wszystkie są pod tym względem równowarte, tak np. wybrzeża morza Niemieckiego płaskie, prawie bez portów, otoczone mieliznami, są lepszą granicą, niż południowe wybrzeże Anglii, gdzie wylądowanie jest łatwiejsze.

Po granicach morskich następują pod względem dobroci górskie; przytem granica polityczna powinna się ciągnąć wzdłuż grzbietu gór. Granice rzeczne są mniej obronne, ale i o nie staczano nieraz walki, np. o Ren.

Historyczny rozwój granic politycznych przedstawia się jak następuje: granica z początku nietylko nie jest linią, ale nawet nie jest pasem pojedynczym, lecz pasem podwójnym: dwa terytorya plemienne z początku nie stykają się ze sobą, między niemi leży marchia (Mark). Powoli posiadłości prywatne wkraczają na nią, linia graniczna pada mniej więcej pośrodku, po obu jej stronach ciągną się pasy słabo zaludnione i przesiąknięte obcymi elementami etnicznymi. Te stosunki między dwoma sąsiedniemi państwami przedstawiają pewną analogię z wielu bitwami. Tak np. pod Forbachem i Saarbrücken oba wojska nieprzyjacielskie stały przez tygodnie naprzeciw siebie, pozostawiając między sobą wolny pas ziemi; na tym wolnym pasie odbyła się następnie walka.

Godne uwagi są stosunki granic politycznych do państw; przez granicę odbywają się stosunki między państwami, dla tego w pobliżu granic powstają ważne miasta handlowe (a naturalnie i fortece). Jak w państwach pierwotnych, np. afrykańskich, władza państwowa słabnie w pobliżu granic, tak podobnie, choć w mniejszym stopniu i w europejskich; w pasach granicznych najczęściej zdarzają się powstania, one są najbardziej narażone na wpływy zewnętrzne, one są areną przemytnictwa. Silne utrzymanie granicy jest miarą wewnętrznej siły państwa. Granice w swych różnych częściach mają różne znaczenie; szczególniej ważne są punkta, gdzie wdziera się głęboko obce państwo. Francuzi dobrze zrozumieli, że zatoka graniczna pod Saarbrücken jest dla nich ważnym punktem ataku na Niemcy. Podobnym punktem napadu Niemców na Czechy jest okolica Glatzu.

Dogodne są szczególniej te części granic politycznych, które się opierają o granice naturalne lub też są wysunięte ku ważnemu punktowi państwa sąsiedniego. Miejsca gdzie granice polityczne są blizkie, lecz nieidentyczne z etnograficznemi są niebezpieczne i muszą być bardzo strzeżone, o czem wiedzą dobrze mężowie stanu. Na znaczenie granicy zwrócił uwagę między innymi generał francuski Stoffel przy omawianiu możliwości porozumienia między Francyą i Niemcami: sądzi on, iż Francya mogłaby się na to zgodzić tylko pod warunkiem znacznych zmian w granicach, albowiem przy obecnym stanie rzeczy granica francusko-niemiecka leży dwa razy bliżej Paryża, niż Berlina, a prócz tego w marszu na Berlin przedstawiają się liczne przeszkody do przezwyciężenia w postaci rzek (Saar, Morella, Ren, Wezera Elba). Podobnież niekorzystnie przedstawia się granica dla Rosyi ze względu na blizkość jej od Petersburga.

Granica polityczna wreszcie jest często granicą kultury, gdyż każdy naród, każde państwo ma swój właściwy stopień i charakter kultury; nieraz gdybyśmy nawet nie wiedzieli, żeśmy przebyli granicę, po-

---

Tomasz sprzedawać musiał szmatę za szmatą, byleby mieć trochę kawy i tytoniu, większa część jego zarobków szła na takież cele. Wkrótce zaczął żebrać po gminach. A gdy nazbierał trochę grosza, zawlekał się z bandą do najbliższego miasteczka, gdzie raczyli się mięsem i wódką, przedewszystkiem zaś wódką, póty, póki z zasobów nic, nic zgoła nie zostało.

Najczęściej przebywali wśród strilów *) i w okolicach Stawangeru; w miejscowościach, więcej na wschód położonych, nie popłacały ani czary, ani pobożne rozmyślania. Zresztą wszędzie coraz mniej czarom cygańskim dawano wiary; cóż robić, ludzie za dużo się uczyli...

Zawitała brzydka zima: śniegi i deszcze, złe drogi i lodowato-mroźne wichry.

Wolno, nędznie, włóczyli się wzdłuż wybrzeża strilów, nieraz z powodu zawiei przerywając drogę. Wreszcie doszli do Stawangeru, gdzie Kachnie udało się sprzedać jakąś ręczną robotę. Tak długo nędzę cierpieli, że zdało im się, iż teraz użyć powinni, co się zowie. Hulali więc i pili ze znajomymi, póki całego łachmana na nich nie zostało.

I zaczęli się włóczyć dalej po wilgoci i wśród mroźnego wiatru, na śmierć prawie kostniejąc. A wyglądali tak strasznie, że gdziekolwiek zaszli, ludzie, widząc ich, usuwali się, jakby w przestrachu. Łachman na łachmanie; tu i owdzie wyzierało nagie ciało; włosy wikłały im się w kosmykach naokoło głów, spadając na sine, czarnemi pręgami poorane twarze.

Najbardziej młody Thomassen dbał jeszcze o swój wygląd; posiadał kapelusz, na szyi zaś nosił różową, bawełnianą chustkę. Dziwna była to postać. O całą głowę od ojca wyższy, długi, wązki, w ruchach niedbały, ręce trzymał w kieszeniach, chwiał i kołysał się, niby maszt na wodnej, płytkiej fali; na długiej brunatnej szyi utwierdzona była drobna, mała, jak guzik, główka. Twarz krągła, płaska, jak cyferblat, żółto-bzonzowa w barwie, o skórze pergaminowej, szorstkiej, pokrytej małemi piegami, okolonej zarostem ryżym, twardym, jak szczecina; małe, ciemne, żywo oczki, nizkie, wypukłe, okrągłe czoło; po ojcu miał ów cyniczny, przebiegły rys wokoło ust i grę twarzy, przechodzącą nagle z dzikiego szelmostwa w świętą, pokory pełną szelmowską powagę; na jednym policzku widoczną była wielka blizna.

Źle im było pod każdym względem. Najgorszem zaś było to, że tytoń wyszedł im zupełnie.

Postanowili puścić się w drogę przez Tjell i połączyć się z Didriksenem i jego bandą.

Tomasz rozprawiał:

— Nie chcę się chwalić, ale śmiało powiedzieć mogę, że życie moje było czysto, a ręce wolne od cudzej własności. Trzymałem się zawsze zasady: póki *uniknąć możesz*, unikaj czynów przez Boga wzbronionych...

Badawczo zerknął na syna. Twarz jego przybrała dawny, szelmowski wyraz, oczy, niby u świętego, zwrócone były ku niebu, świecąc białkami.

— Tak, że powiedzieć muszę — począł dalej największym swoim głosem, iż *gdyby* mi się nawet coś podobnego przytrafiło, zawsze jeszcze więcej wart będę od takiego Didriksena i innych naszych znajomych.

Carolus wybuchnął cynicznym, głośnym śmiechem. Poczem rzekł:

— Nie wiele ci z tego twego cnotliwego życia przyszło, ojcze. Tym, co siedzą w pago *), dzieje się lepiej, niż nam, oj lepiej!

Teraz wesoło zaśmiał się i Tomasz. I spojrzeli na siebie z ukosa, rozumieli się.

— Nie gadałbyś tak lekkomyślnie — napomniał stary; smutne to i głębokie sprawy, wyroki zaś Pana dla nas są niepojęte. Ale nie znaczy to jeszcze, iżby zaraz była mowa o domu poprawczym — dodał zwykłym tonem.

— Wszystko jedno — odparł Carolus stanowczo. Skoro najmita nie ma swego pół szeląga, który mu jest potrzebny dla wyżycia, radzić sobie musi, jak może. Dużo o tem myślałem, wierzaj mi. Jedno z dwojga. Albo pójdzie dobrze, a wtedy — tem lepiej. Albo też przyłapią nas i ukarzą; ale nawet w tym razie lepiej nam będzie, niż teraz...

Rzecz stawała się poważną.

Po chwili Tomasz, Carolus i Kachna siedzieli przy drodze i radzili. Na radzie tej wszystko zostało rozebranem i zadecy-

*) „Strile“ — chłopi, trudniący się rybołówstwem, na północ od Bergen.

*) Pago — dom poprawczy.

znalibyśmy to ze zmiany ogólnego widoku kraju, uwarunkowanej zmianą kultury. Nie wszędzie naturalnie zmiana taka jest jednakowa: inaczej rzecz się przedstawia np. przy przebyciu zachodniej granicy Niemiec, a inaczej przy przebyciu wschodniej; w związku z tą okolicznością jest bystrzejszy rozwój kulturalny Niemiec zachodnich niż wschodnich.

Ratzel, kończąc swój odczyt radzi niemieckim mężom stanu i niemieckim wojskowym, aby zajmowali się studyowaniem granic politycznych z taką ścisłością, na jaką one ze względu na swą ważność rzeczywiście zasługują.

W. N.

JAN KOLLAR.

W lipcu r. b. upłynęło sto lat, gdy wśród ubożuchnych słowaków urodził się pieśniarz, który uderzając w struny dźwięcznej lutni swojej, wydobywał z niej tony smętne i łzawe nad przeszłością zaginionych w morzu germańskiem słowian.

Miasteczko Moszowce na Słowaczyźnie jest miejscem, gdzie d. 27 czerwca 1793 r. urodził się Jan Kollar, niewłaściwie przez jedno z pism warszawskich nazwany Kolarzem, gdyż nazwisko to służy jednemu z poetów czeskich, a że kończy się na *rz*, przeto nie może być słowackiem, bo w języku tego ludu jest *r* miękkie, nigdy zaś *rz*.

Zdolny pedagog Szulek wprowadził Kollara do świątyni nauk. Przygotowany odpowiednio poeta przez biegłego mistrza, uczęszczał do szkół kremnickich (1806 r.), w Bystrzycy (1810—1812 r.) i do liceum ewangelickiego w Presburgu, skąd udał się do Jeny, zwiedziwszy po drodze Pragę, gdzie zawarł związki serdecznej z Palackym, Jungmanem i Najedlym przyjaźni. Mężowie ci, będący poniekąd wskrzesicielami ruchu umysłowego w Czechach, wielki wpływ wywarli na wrażliwego młodzieńca. Pobyt w Jenie, przyczynił się do rozwinięcia uczucia, które miało w przyszłości przyczynić się do utworzenia jednej rodziny z rozlicznych plemion słowiańskich. Idea ta stała się dlań tem, czem powietrze dla ptaka, woda dla ryby. Mimo mozolnych nader studyów teologicznych, kształcił się bowiem na pastora, badał on ślady zaginionych słowian na ziemiach dzisiaj niemieckich. Ujrzawszy raz nadobną Wilhelminę, córkę pastora Schmidta z Lobden, zapalił się doń ogniem burzliwej dwudziestopięcioletniego młodzieńca miłości. Młodsza o 2 lata Wilhelmina była mu wzajemną. Owocem tej miłości były sonety, które utworzyły poemat epiczno-erotyczny p. t. *Córa Sławy* (Dcera Slávy, lyricko-epicka báseň, wyd. w Pradze 1821, następnie tamże u Kobra 1862). Śpiewa on o lipie na zielonej łące, pod której cieniem rad spoczywał, obejmując uśmiechniętą Wilhelminę, tj. córę sławy. Ona była dlań nietylko kochanką, ale i narodem słowackim, a nawet uosobieniem całej Słowiańszczyzny. „O Sławo, o Sławo, śpiewa poeta, tyś imieniem słodkich dźwięków i gorzkich pamiątek...“ Zwróciwszy się w przyszłość, mówi: „Wiadomo nam, co inni zdziałali, lecz zakryte to przed oczyma naszemi, czem mamy być w księdze ludzkości.“ Niebawem miłość poety uwieńczoną została małżeństwem z ukochaną Wilhelminą. Matka atoli nowozaślubionej nie chciała córki puścić do Węgier, gdyż o tym kraju nader opaczne miała wyobrażenie, utrzymując, że tam nic nie masz okrom pustych stepów, na których dzicy mieszkańcy, skórami okryci, koczowniczy wiodą żywot i t. p. Ukończywszy studya uniwersyteckie w Jenie, otrzymał Kollar miejsce drugiego pastora przy kościele ewangelicko-augsburgskim w Peszcie, zostawiając małżonkę przy matce. Tutaj napisał: „Rozprawy o jmenach, počatkach a starožitnostech národu slavského“ (Budin 1830) i „Výklad čili přimětky a vysvetlivky ku Slávy Dceře“ (Peszt 1832 r.). Po śmierci teściowej sprowadził już czterdziestoletnią Wilhelminę do Pesztu (1835). Zgon pierwszego pastora Molnara poprawił dolę poety, który otrzymał urząd zmarłego. W tym czasie Wilhelmina powiła mu córeczkę Ludmiłę. W 1837 ogłosił Kollar broszurę: „Ueber die literarische Wechselseitigkeit zwischen den verschiedenen Stämmen und Mundarten der Slaven.“ We dwa lata później wydał wątpliwej wartości pełną dziwactw pracę p. t. Sláva bohyně a původ jmena Slávův. W listach k Šafaříkovi“ (Peszt 1839 r.).

Prześladowany przez madziarów, cierpienia swoje osładzał podróżami do Włoch i Szwajcaryi. Na zasadzie zebranego we Włoszech materyału napisał dwa dziełka: „Staroitalia slavjańska“ i „Čestopis do horni Italie.“ Pierwsza z tych prac jest raczej płodem bujnej wyobraźni, aniżeli wynikiem rzetelnych studyów naukowych. Mimo to wiele towarzystw naukowych powołało go na swojego członka. W 1849 otrzymał w Wiedniu katedrę starożytności i mitologii słowiańskiej. Dla uzupełnienia swoich studyów, odbył podróż do Meklenburgii, gdzie badał ślady pobytu Słowian obotryckich. Zbierał pieśni ludowe u słowaków. Z działu teologicznego zostawił tylko Kazania niedzielne, świąteczne i przygodne (1839).

Stanąwszy u szczytu sławy, w chwili gdy będąc w pełni lat męzkich, mógł jeszcze działać i stwarzać dzieła pomnikowe, nieubłagane Parki przecięły nić życia jego d. 29 stycznia 1852 r. Na pomniku jest napis: Ziv jsa, nosil v srdci národ celý, zemřev žije v srdci národu.

J. F. Gajsler

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Emil Zola, *Le docteur Pascal* (Doktór Pascal). Paryż, 1893.

Nareszcie ostatnie ogniwo tego nieskończenie długiego łańcucha, przez dwadzieścia lat kutego: *Rodziny Rougon-Macquart*. Jeszcze podczas oblężenia Paryża — czytamy w dzienniku Goncourta — powziął Zola myśl napisania „epopei naszego wieku“; potem od r. 1873,

---

dowanem. Należało koniecznie znaleźć jakiś środek, a jedynym takim środkiem była spaneba *).

Zapanowała radość wśród gromady, humor dobry i zadowolenie. Zdawaćby się mogło, iż wreszcie przybili do lądu...

Po południu Kachna odłączyła się od mężczyzn, życząc im powodzenia; sama z dziećmi miała pójść drogą przez Tjell. Tomasz i Carolus skierowali się ku Haawe. Miejscowość tę Carolus znał dobrze...

Powietrze było czyste, trochę tylko mroźne. Wielkie, szare, ciche chmury pokrywały niebo od zachodu ku południowi; słońce już prawie zaszło.

Biegli raczej, niż szli, po części aby prędzej przybyć do celu, poczęści aby nie uczuwać chłodu. Póki dniało jeszcze, szli drogami bocznemi i polem; prawie nie mówili; nie pora to na gadanie, a i siły oszczędzać należało.

Dwa razy spoczywali; między jedenastą a dwunastą w nocy stanęli na miejscu.

Na Haawe psa nie było — wszystko bezpieczne. Za wozownią Carolus znalazł drabinę; przystawili ją do okna śpiżarni. Carolus zdjął buty i wszedł. Wyjął jedno okno, posłuchał, dał znak ojcu, że — cicho i wlazł do wnętrza.

Drzwi między sienią a śpiżarnią były otwarte; Carolus zatrzymał się, nadsłuchując, czy w łóżku, które tu stało, ktoś czasem nie śpi. Nic. Wszędzie cicho. Szedł więc dalej.

Serce biło mu trochę; zresztą dobrej był myśli, a nawet wesół. Czuł się właścicielem wszystkiego, co widział wokoło siebie, nocą złodziej jest panem. Cicho, ostrożnie sunął naprzód, pół-krokiem, z ręką wyciągniętą przed siebie, w obawie, aby nie potrącić przypadkiem o jakieś krzesło; po chwili stanął przed szkatułą Anny.

— Zamknięta? Nie. Wszystko otwarto; wszystko — jak dawniej. Poczciwi ludziska; więcej ufali Bogu, niż zamkom; gdyby też wiedzieli, jakich teraz mają gości! Z szafy cichutko, ostrożnie jął wyjmować łyżki srebrne, jedną po drugiej; pięć dużych i trzy małe — do herbaty. Potem podniósł wieko szkatuły, dojrzał malońką skrytkę, w której Anna zwykła była chować swoje srebrne klejnoty; skrytka ta dziwny miała zameczek; ale mniejsza o to.

Dawno już nauczył się od Didriksona sztuki otwierania zamków. Podłubał trochę scyzorykiem i zameczek ustąpił. Mam talent, mam! — mruknął do siebie.

Zaczął wyciągać wszystko: kropielnicę ze srebra, srebrne serduszko, duży, stary pierścień srebrny, złoty pierścionek z kamieniem, wielki naramiennik ze szczerego złota, ciężki, starodawny łańcuch srebrny; wszystko poznawał, i ogarnęło go niemal wzruszenie. Ach, kochany ten czas dzieciństwa! Zwinął wszystko w chustkę i skrył w kieszeni od bluzy. Na ścianie, obok drzwi, wiodących do pokoju, wisiały wszelkiego rodzaju ubrania; sięgnął po nie kilka razy, biorąc z sobą tyle, ile zdolen był unieść.

I szybko wyszedł. Ubranie rzucił ojcu; okno wsadził napowrót, spuścił się na dół i wdział trzewiki; potem we dwóch odstawili drabinę i — w drogę.

Carolus prawie że opanować się nie umiał. Taki był szczęśliwy — skakał, tańczył, śmiał się, wywracał kozły, szczypał ojca; dokonał dzieła mistrzowskiego! Stary napominał i przestrzegał. Ale nie na wiele się to zdało; wtedy zaczął biedz. Kiedy oddalili się od zagrody na przestrzeń dość już wielką, zmienili odzież.

Stare łachmany schowali gdzieś za płotem, przykryli je chrustem i gruzem, aby ich nikt nie dostrzegł; Carolus szalał. Żartem rzucił ojca na ziemię, wytłukł go, śmiał się, skakał, dokazywał; udawał wójta, który niby to przychodzi, aby ich aresztować, wziął zuchwalca i zbił go na miazgę, wesoło przytem podśpiewując.

Stary klął i wymyślał, w końcu jednak musiał zamilknąć.

Wkrótce doszli do fabryki tkackiej w Brekke. Tu wejdą i „płótna na ubranie sobie kupią.“ Naturalnie. Kiedy brać, to brać, ile się da! Carolus wyjął szybę i zwinnie, jak wąż wśliznął się do wnętrza. Ha, ha, moskro *) śpi i buro **) śpi i kundle śpią i nomanisal ***) panem jest w kraju! Przez otwór w oknie zaczął wydawać sztukę płótna za sztuką; przy czwartej Tomasz zauważył, że dość tego będzie, że tyle nie uniosą. Lecz Carolus nie przestawał. Śmiał

*) Spaneba — kradzież.

*) Wójt.

**) Chłop.

***) Cygan.

kiedy ogłosił *La Fortune des Rougon* snuje niepowstrzymanie swą nić. Ile na tej nici jest węzłów, ile miejsc, w których za lekkiem dotknięciem ręki może pęknąć, nie tu nam rozbierać. Wystarczy tylko, że epopei Zola nie stworzył, a nawet arcydzieła wśród dwudziestu pięćset stronicowych jej tomów darmobyśmy szukali.

Imię Zoli jest teraz głośne, powieści mają pokup. Francuzi, połechtani zwłaszcza *Pogromem*, gotowi uważać je za spiżowe kolumny sławy narodowej. „To największe dzieło wieku" — czytam w jakimś kuryerku paryskim. Jednak w spiż ten zbyt wiele podpłynęło żużlu i wątpię, czy długo będzie on mógł oprzeć się atmosferycznym wpływom czasu.

A już chyba zaraz po opuszczeniu pracowni pocznie rdzewieć najnowszy *Doktór Pascal*. Jest to utwór, którego nie wartoby zaznaczać, gdyby nie wyszedł z pod pióra pisarza znanego, nadto jeszcze tu i owdzie uważanego za przedstawiciela postępowego kierunku literatury.

Doktór Pascal, lekarz w miasteczku prowansalskiem Plassans, lecząc tylko ubogich, zebrał w przeciągu trzydziestu lat tyle, że kupił sobie piękną fermę la Souleiade i odłożył na procent — sto cztery tysiące franków (!). Ma on wierną służącą Marcinę, która go kocha, lecz o której miłości dowiaduje się aż w godzinę śmierci. Pozwala jej wtedy pocałować się. Nadto utrzymuje przy sobie córkę brata Arystydesa, Klotyldę, dziewczynę, jak zapewnia autor, bardzo inteligentną.

Ten sam doktór Pascal, pochodząc z rodziny fatalnej, pełnej jednostek nędznych, zapisuje wszystkie jej sprawki. (Opowiada je po śmierci spadkobierca Emil Zola w seryi *Les Rougon-Macquart*). Nie przejmują go one wstrętem, ani zgrozą, notuje je jako objawy — dziedziczności. Naukowo biorąc, opiera swą budowę na kruchych podstawach, bo babka jego, z której pochodzi cała rodzina, Adelajda Fouque, jest kobietą dobrą, trochę tylko nerwową i niczem nie zdradza posiadania instynktów rozwijających się u potomstwa.

Obserwacye jego z czasem stają się tak liczne, że wypełniają kilka worków w szafie przeznaczonej na rękopisy. Ponieważ nie idą one w smak braciom i matce, ta ostatnia postanawia je wykraść.

Przybiera sobie do pomocy — Klotyldę, lecz doktór udaremnia ich plan. Nie dają za wygranę i Klotylda, którą naraz opętały kazania kapucyna, szerzącego światło z miejscowej ambony i której zdaje się, że notatki wuja są bezbożne, zamierza je bądź co bądź zniszczyć. Wykrada więc doktorowi z kieszeni klucz od szafy rękopisowej, ale gdy ją już otworzyła, doktór posłyszał, że ktoś obok krząta się i wbiegł do pokoju. Ujrzawszy siostrzenicę przy zapiskach, rzucił się na nią, oboje w negliżach jęli się szamotać. Wydarł jej wreszcie klucz, a w walce tak mocno ścisnął ramię, że aż krew wystąpiła.

I oto to ściśnięcie ramienia negliżowe, „ściśnięcie mężczyzny" „wpaliło się w jej ciało dziewicze..." A zatem: przyszły „pożądania." Klotylda staje się coraz miększa, myśli o wykradzeniu papierów ulatają. Wuj nabiera powabu. Nareszcie gdy pewnego razu kupił jej ładny kaftanik i spytał, kiedy ślub z doktorem Romandem, jej konkurentem, zawisła mu na szyi i zawołała: „Ja z nikim ślubu nie biorę, ja ciebie kocham, ciebie kocham i ciebie pożądam."

Na to doktór Pascal mdleje z radości, potem oboje przez półtora miesiąca zamykają się w mieszkaniu i nigdzie nie wychodzą. Zola opisuje, jak mistrz odmłodniał, jak Klotylda czuje się szczęśliwą, jak przyroda cieszy się z powodu ich skojarzenia. Wreszcie po sześciu tygodniach ptaszki wychylają główki za gniazdko i zaczynają ukazywać się w Plassans.

Ponieważ treść dotychczas ma charakter psychologiczny, a Zola, jak wiadomo, w psychologii nie tęgi, więc uważając, że dla czytelników nawet tak pobudzającej historyi, jak historya miłości starca i dwudziestopięcioletniej dziewczyny za mało, dodaje jeszcze perypetye. Otóż zdarza się, że pewnego ranka notaryusz, u którego Pascal złożył swe pieniądze, uciekł. Chociaż zostawił on spory majątek — ze sprzedaży go przypadło później doktorowi 80,000 franków — i chociaż jest niemożliwem, aby mieszkając o kilkadziesiąt kroków od niego, Pascal o tem nie wiedział, Zola każe mu nie wiedzieć. Serce Pascala napełnia się smutkiem, a sądząc, że lepiej będzie kochance z pełnym żołądkiem bez niego, niż z nim i suchymi ziemniakami, zmusza ją do wyjazdu, gdy brat Maksym przysłał list, aby pojechała do niego, pielęgnować go w niemocy.

Rozstają się, leją, każde na uboczu, potoki łez. Żegnają się, jak gdyby w dwie strony świata jechali. Trudno tu nie uśmiechnąć się. Toż Klotylda ani na zawsze, ani w dalekie strony nie odjeżdża. Z domu brata, w Paryżu, może w każdej chwili wrócić, zresztą gdyby miała głowę na karku, od pierwszej lepszej sąsiadki dowiedziałaby się, że notaryusz pozostawił mienie i że Pascalowi z niego przynajmniej połowę złożonej sumy zwrócą.

Nareszcie Pascal dostaje sklerozy serca, na kilka dni przed śmiercią otrzymuje list od Klotyldy, donoszący mu, że jest ona w ciąży; telegrafuje do Klotyldy, aby przyjechała, lecz umiera przed jej przybyciem. Wszystko zdarza się, bo psychologicznego powiązania wypadków nie ma.

Klotylda w końcu rodzi syna, dziedziczy Souleiadę i 80,000 franków i czule wspomina wujaszka.

Oto osnowa *Doktora Pascala*, banalna i niedołężna. Daremnie wytężamy wzrok za jakąś myślą przewodnią, nie błyszczy tu jej nić świetlana. Dlaczego połączył Zola starca i Klotyldę? Nie wiadomo. Czemu ośmieszył uczonego, a wynaturzył siostrzenicę? Nie zgadniesz.

Cała powieść wygląda na parodyę miłości. Wszystko, co miłość ma wzniosłego, tu zaciera się. Jak wszędzie u Zoli stanowi ona tylko połączenie zmysłowe dwu jednostek, a nadto przeprowadzona nieudatnie, bez uzasadnienia, bezsilnie.

Nie uważam stosunku Pascala i Klotyldy za kazirodczy, jak to chcą pisma francuskie. Miłość między wujem i siostrzenicą jest możebną, zresztą dlaczegóż nawet kazirodztwo ma być wykluczone z literatury? Shelley stworzył na tle jego arcydzieło: *Rodzinę Cencich*. Niesympatyczniejszem już okazuje się łączenie starca z młodą dziewczyną, jest ono bowiem zasadniczo nienaturalnem, a jeśli zdarzają się wyjątki — i wtedy rażą niemile. Budzą odrazę, wprawdzie tylko instynktową, ale dlatego może tem silniejszą.

Przypuśćmy jednak, że Zola zechciał

---

się, jak kos: kiedy brać, to brać! Wreszcie wyszedł.

— Oszalałeś, chłopcze! Na co nam więcej, niż unieść możemy!

— Dalej, do Elvu — śmiał się Carolus — do Elvu, dalej!

I sztukę za sztuką zaczął rzucać do rzeki.

— Hurra! — to dla chłopa, hurra! — a to dla wójta!

— Oszalałeś! — jęczał stary — do kozy pójdziesz; tego bym się po tobie najmniej był spodziewał, po tobie, który tyle posiadasz uczoności!..

Ciężką mieli drogę przez szare łąki i nagie doliny, o głodzie prawie, wśród coraz gęstszego śniegu, aż wreszcie po półtrzeciodziennej wędrówce połączyli się z bandą w Waadalu.

Tu podzielili się zdobyczą i rozeszli się.

Tomasz wziął dzieci swoje i udał się na wschód. Carolus i Kachna wrócili napowrót na północ. Pierwszą noc spędzili w zajeździe, niedaleko Waadalu. Nazajutrz, gdy ruszać mieli już w drogę, syn gospodarza wpadł do nich z krzykiem: jest tam dwóch strażaków i dwunastu chłopów — chcą się z cyganami rozmówić! mają broń!

Carolus i Kachna pobledli.

— Sytuacya jest jasną! — mruknął Carolus.

Zwrócił się do gospodyni, która, jak opłatek blada, drżała na całem ciele:

— Wyjdź tam do nich, poczciwa kobieto i powiedz wójtowi, że to, czego szukają, leży za wchodowemi drzwiami. I to jeszcze mu powiedz, że żona moja wcale tu w grę nie wchodzi, o niczem nie wie. Tylko nie zapomnij, moja kobieto!

Baba wyszła.

Carolus włożył za pas nóż swój i wyszedł za nią. Chłopi rzucili się, chcąc go pochwycić; on jednak odskoczył i wyciągając nóż, zawołał:

— Niech się zbliży, kto ma ochotę!

Zlękli się i stanęli.

W tej samej chwili Carolus zaczął biedz ku fjellowi na zachód; kiedy chłopi przyszli do siebie, był już daleko.

Puścili się w pogoń, lecz naprożno; chłop biegł ciężko, cygan był lekki; wkrótce siedział sobie bezpiecznie we wgłębieniu górskiej ściany, ponad głowami chłopów prawie. Ci zaś wśród śniegu wytrzeszczali oczy, stali ze swojemi strzelbami i starą, rdzawą ręczną bronią, nie wiedząc, co począć.

Wśród cichego, mroźnego poranku słyszeć mógł niektóre dźwięki ich rozmowy.

— Żonę jego chyba już związali? — pytał jeden.

— Tak — brzmiała odpowiedź — ryczała wprawdzie i gryzła; teraz jednak siedzi i beczy!

— Biedna Kachna!

Najlepiej — poddać się. Jeżeli mają wziąć Kachnę, to przynajmniej lepiej będzie, kiedy i sam za nią pójdzie; łatwiej pomódz sobie w dwójkę, niż pojedynczo...

Wylazł z ukrycia i zeszedł do wójta. Przybrał pokorną swoją minę i rzekł, że z żoną rozłączać się nie chce. Nie trzeba używać gwałtu, sam idę!

Wieczorem Carolus i Kachna siedzieli w kozie. Każde w osobnej norze pod strażą.

I zdjął cygana dziwny smutek. Pomyśleć tylko! On — złodziejem — w więzieniu; nie spodziewał się, iżby *jemu* coś podobnego przytrafić się mogło!

A ojciec — biedak! Bóg wie, gdzie się teraz błąka! Może i jego wsadzono...

Lecz mniejsza już o to; najgorzej trapiła go myśl o Kachnie.

Mogą go skazać na rok, a może i na dwa lata. A gdzie szukać będzie swojej Kachny, kiedy na wolność wyjdzie?

Myślał i myślał, i ciężko mu się robiło na sercu i mięko. Bez Kachny nie wyżyje; czuł to teraz wyraźniej, niż kiedykolwiek. Musiał podzielić się z nią myślami i zmartwieniem swojem. A że nie wiedział, w jaki sposób porozumieć się z nią można, więc zaczął śpiewać.

Śpiewał na starą nutę cygańską, dziwną jakąś, pełną smutku i prostoty, tak smutną i tak prostą, jak gra wiatru, dmącego w kominy.

Po chwili rozległ się śpiew w celi przyległej; była to odpowiedź Kachny...

Siedzieli tak długo, nucąc sobie wzajemnie o miłości, wierności i cierpliwem wytrwaniu w dobrej i złej doli; wreszcie jednak strażnik napomniał ich, ażeby zachowali się spokojnie.

(D. c. n.).

opracować wypadek wyjątkowy. Powinien tu był rozwinąć wiele starania; kto robi zwykłe pończochy wełniane, może drutami obracać nawet o zmroku. Ale kto pracuje nad koronką subtelną, ażurową, musi usiąść przy oknie, uważać, aby miał wiele światła i myśli nie odrywać od pracy.

Zola z grubymi drutami, w dodatku wieczorem, zasiadł do ażuru. Więc porwał nici.

Przedewszystkiem konieczną tu jest psychologia; nie ma jej ani śladu. Rozdziały stoją przy sobie, jak słupy mostu, którego deski zerwała powódź. Potrzeba skakać z jednego na drugi, o ciągłości ani marzyć. Szukamy jakiejkolwiek analizy budzenia się uczuć. Napróżno. Pascal i Klotylda żyją obok siebie od dwudziestu lat. Pascal był zawsze niby ojcem dziewczyny, za takiego uważa się w początkach powieści, naraz bez najmniejszego powodu nazywa go Zola na setnej stronicy zakochanym. Temperamentu nie posiada zmysłowego, więc o skok jeszcze trudniej. Podobnie Klotylda jest naturą spokojną, żadna namiętność nie wstrząsa nią i nie można sobie nawet wytłomaczyć, dlaczegoby miała zakochać się w wuju po dwudziestu latach pobytu u niego. Okazuje się zatem, że należy wpływ decydujący przypisać ściśnięciu ramienia. Alež to powód zanadto śmieszny. W chłopskiej Beauce podobne karesy parobka może zdołałyby podbić dziewuchę, ale i tam, gdyby ją starzec ścisnął, nietylko że nie zakochałaby się w nim, lecz dałaby mu pamiątkę. Tu u kobiety inteligentniejszej do podobnego wypadku sprowadza się genezę uczucia!

Jakżeż potem nieuzasadnione psychologicznie to wysłanie Klotyldy do Maksyma. Skoro Pascal ją kocha, czy może tak rozumować? Zwłaszcza że nędzna bezwzględna im nie dokucza, bo mają jeszcze w domu 500 franków.

Dodałoby powieści siły, gdyby przynajmniej postacie były dobrze wycieniowane. Otóż nie wiadomo doprawdy, czem różnią się od siebie Klotylda i Marcina. Tylko wiekiem. Zresztą są jednakie. Klotylda niby czytała trochę książek, ale tak samo jak Marcina daje się przekonać matce Pascala, że zbieranie notatek przez niego zagraża zbawieniu jego duszy (!), tak samo jak Marcina przesiaduje w kościele, odkąd tam każe kapucyn, tak samo pada na kolana przed „mistrzem“ lekarzem, nie okazuje żadnej niezawisłości umysłu. Chociaż autor podpisał pod nią: inteligentna, w całej powieści jest gąską, tak mało myślącą, jak kucharka Marcina.

Doktór Pascal śmieszny, jak jego miłość. Kiedy począł rozchylać się w jego sercu kwiat uczucia, nie żywiąc żadnych nadziei względem Klotyldy, jedzie, jak zapewnia nas autor, do Marsylii „topić smutek w rozpuście.“ Ma siwy włos! Potem ile razy spojrzy na Klotyldę, płacze. Wreszcie jak zabawnem jest, że ten dziaduś pewnego dnia, odpinając siostrzenicy kapelusz (jeszcze przed kupieniem kaftanika), roznamiętnia się. Wyprowadzają go tak mocno z równowagi — pukle dziewicy.

Ile łez płynie w utworze! Powódź. Tyleż, jeśli nie więcej, co w *Domyślności serca* Malwiny Czartoryskiej. Wykradanie papierów (ostatecznie udaje się) mogłoby śmiało figurować w fejletonie pisma brukowego. Nielogiczność autora wytknąłem kilka razy w streszczeniu. Mógłbym wyliczyć wiele reminiscencyj z powieści poprzednich. Historya Pascala i Klotyldy przypomina dzieje Sergiusza i Albiny z *Błędu opata Mouret*, płaksiwość Pascala — zakochanego kowala Goujet z *Assomoir*. Klotylda ma wiele wspólnego z siostrą Sergiusza Désirée, apatya, w jaką ona wpada w pierwszej części pod wpływem kazań, odpowiada apatyi alkoholicznej Gervaise'y Coupeau. Towarzyszenie przyrody objawom życia ludzkiego ogrywane już przynajmniej w połowie Rougon Macquartów.

Z wielkim ferworem rozpisuje się Zola o teoryach dziedziczności Pascala i jego metodzie leczniczej za pomocą wstrzykiwań roztworu z baraniego mózgu. Wszystko to dzieje się przed rokiem 1873. Tymczasem metoda Pascala jest parafrazą znanego sposobu Brown-Séquarda, a teoryę o dziedziczności znajdujemy w książce Ribota *L'hérédité psychologique* (cytuję według wydania z r. 1883; stronice 172 i nast., 265 i nast.). W końcu dane, do jakich dochodzi uczony (w odpowiedniem miejscu doktora Pascala zbyt wyraźnie utożsamiony z Zolą) są takie: oto że z pewnej rodziny rodzą się szubrawcy, ale zarazem i jednostki bardzo sympatyczne, jak Silvere w *Fortune des Rougon*, albo Angelika w *Marzeniu*. Więc cóż to za naukowe badanie, wszyscy o tem wiemy, tak bywa. Gdybyż autor podał jakieś prawa.

Na deser kilka specyalności zolowskich. Z wdzięków Klotyldy najwięcej podbijają Pascala jej „wrzecionowate“ nogi. Epitet ten, jak u Homera, kilkakrotnie powtarza się. Pewnego wieczora leżą oboje w ogrodzie, dyskusya staje się gorętszą, wtedy ona „podnosi się na swoje siedzenie“ (séant). Przy trupie Pascala rozmyślania Klotyldy: „Ile okruszyn ich miłości było rozsypanych na tej komodzie z białym marmurkiem, ile śmiechów rozbrzmiało w tym pokoju. Tu na krześle ona nieraz siedziała, ubierając pończochy, a on ją łaskotał...“

Dobrej pół strony zajmuje opis karmienia dziecka piersią, bodaj charakterystycznem wreszcie jest miejsce dowodzące, że i w opisach Zola pozostaje Zolą.

Pewnego wieczora pogniewali się oboje. On jej powiedział: milcz! i ścisnął rękę. Wtedy ona „cofnęła rękę, skoczyła w bok, jak zwierzę nieposkromione, dzikie, *stające dęba*. Potem poczęła *galopować* przez zmrok do domu. Rozlegał się wokoło *tententent* jej bucików, zgłuszony potem w piasku alei.“

Nawet ta Klotylda musi pozostać klaczą. Ach, jakie to śliczne!

W. Bugiel.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD NEWY.

III.

Ale wróćmy do sceny. Poważny czytelnik *Prawdy* daruje mi, że pominę opis pantomin, utrzymywanych w miejscowych ogródkach na wyżynie tego rodzaju sztuki, oraz że tylko przelotnie oddam hołd żywym obrazom, naśladującym wcale zręcznie znane utwory dłuta i pędzla, walczącym o lepsze cielistym kolorem trykotów i warstwami pudru z białością odpowiedniej farby i gipsu, a plastyką żywego ciała — z natchnieniem artystów.

Znacznie bowiem „poważniejszy“ temat naprasza się pod moje pióro, punkt ciężkości tegorocznych przedstawień. Moskwa, przewodząca Petersburgowi na polu zabawy, znudzona baletem ziemskim, wymyśliła powietrzny, który natychmiast sprowadzono na tutejszą scenę, czy też naśladowano. Dzięki odpowiedniej maszyneryi sekretnej, baletnice na cienkich, niewidzialnych dla oka drutach unoszą się w powietrze, zawieszają się w nader wdzięcznych pozach, tworzą artystyczne grupy, wykonywają te same *pas*, które dotychczas wymagały zawsze podstawy z desek scenicznych.

Powtarzany dotąd na wiarę (dam) pewnik, że kobiety są aniołami, zyskał naraz namacalne potwierdzenie w owych wzlotach baletnic. Równocześnie przeprowadzoną została radykalna reforma: przywilej podziwiania cudów baletu, ustanowiony na rzecz pierwszych rzędów krzeseł, został zniesiony i dzięki rewolucyi w technice teatralnej nastąpiło równouprawnienie galeryi. Nawiasem mówiąc, nowy „wynalazek“ posiada istotną wartość artystyczną i przyczyni się zapewnie do podniesienia efektu przedstawień dramatów poetycznych w rodzaju *Burzy*, *Manfreda*, *Snu nocy letniej* itp. Cokolwiek powiedziećby można o tego rodzaju widowiskach, to pewna, że widzący je po raz pierwszy doznaje silnego wzruszenia estetycznego; zdaje mu się naraz że urzeczywistniły się marzenia malarzy, tak chętnie przedstawiających powietrzne boginie, kobiece postacie gwiazd spadających, anioły, zawieszone na falach eteru.

Ale zstąpmy znowu na poziom desek scenicznych i rzućmy okiem na jedno jeszcze, nader oryginalne widowisko. Oto zalany blaskiem różnokolorowych świateł elektrycznych harem wschodniego władzcy. Gnuśnie wyciąga się on na ottomanie, a szereg odalisek w gazowych zasłonkach tańczy przed nim lubieżny „danse du ventre“: konwulsyjne podrzuty ciała, dziwaczne zgięcia, wężowe wicie się całej postaci... Tańcowi towarzyszą przeciągłe piski, dzikie wycia, okrzyki namiętne. Zda się, to ryk ciała, zepchniętego kędyś w przepaść, ogłaszającego z dna jej wielkim głosem o nienasyconych żądzach ludzkiego zwierzęcia, o jego pragnieniu najwymyślniejszych rozkoszy. Prawdziwy ryk, czy udany dla uciechy widzów — mniejsza... Widowisko to sprowadzono z zagranicy: paryżanki, naśladujące tunetański taniec Ben-Baya — doskonały ekstrakt zepsucia wschodu i zachodu.

* * *

Publiczność oklaskiwała nader słabo. Ale nie rodzaj widowiska był tego powodem. Objawy entuzyazmu wogóle są tu nader rzadkie. Spuchnięcia rąk od oklasków i zachrypnięcia gardeł od bisowania, które w entuzyastycznej Warszawce, o ile pamiętam, stworzyły aż klasę specyalnych lekarzy tych chorób (w prasie), tutaj należą do zdarzeń niebywałych. Publiczność petersburgska wogóle zachowuje się chłodno i obojętnie. Przypisują to zazwyczaj oswojeniu się jej z najbardziej niezwykłemi i doborowemi przedstawieniami: dzięki usłużności przedsiębiorców, sprowadzających wszystko, co nowe i ciekawe, z zagranicy, widziała ona tyle, iż było czem niepodobna jej zaimponować. Nie zaprzeczając tutejszej publiczności przywileju tego rodzaju wszechwiedzy, śmiem przypuszczać, że ów powszechny brak entuzyazmu leży przeważnie w samym temperamencie petersburczyka. Ostra północna zima zaszczepiła w nim chłód lodów. Nawet cuda, sprawiane przez wzdymającą się sukienkę Eusapii, nie zdołałyby go rozgrzać, jakkolwiek naszego Ochorowicza doprowadziły do temperatury wrzenia psycho-fizycznego.

Nic tu nie elektryzuje nigdy ogółu mieszkańców razem. Żaden fakt nie skupia ich w powszechnym objawie uwielbienia lub oburzenia. Prawda, że sam obszar stolicy nie dopuszcza takiego sympatycznego bicia serc, jakie za lada drobiazgiem momentalnie powstaje w niewielkiej Warszawie, gdzie pantoflowa poczta wyprzedza szybkością prasę. Ale niepodobna nie zdziwić się, gdy np. na pogrzebie znanego adwokata, którego imię kiedyś szeroko rozbrzmiewało po Rosyi i po całej Europie, widzi się tylko nieliczną gromadkę znajomych. Zdaje się, że ludzie żyją tutaj luźno,

każdy dla siebie, a co najwyżej kółkami. Wielka ilość żywiołu cudzoziemskiego śród ludności miejscowej wpływa na to w znacznej części.

Frazes Mickiewicza: „tu nikt nie staje, nie patrzy, nie gada,“ pomimo całej swojej jaskrawości, dziwnie blizki jest prawdy. Podczas moich przejażdżek łódką po Newie słyszałem tylko jeden raz głośny śpiew na łódce sąsiedniej; a i wówczas śpiewano po... niemiecku. W Paryżu, w miejscach publicznych, nieznajomi ludzie czują potrzebę komunikować sobie nawzajem dowcipne spostrzeżenia. Rubaszni niemcy w wagonach Stadtbahnu pobudzają się wzajem anegdotami do śmiechu, zawiązując serdeczne znajomości na parę minut. Nawet u nas, w tramwajach pojawia się nader często typ gaduły, który pod pozorem rozmowy z towarzyszem uważa sobie za punkt honoru zabawić wszystkich sąsiadów. Tymczasem na parostatkach kursujących po Newie, zazwyczaj panuje cisza, jak na łodzi Charona, wiozącej duchy na pola Elizejskie. Zwracam uwagę czytelnika, że mam tu na myśli tylko klasy wyższe, a nie warstwę ludu prostego, słynącego z umiejętności obracania językiem (ozorniczanja).

Żdawałoby się, naprzykład, że w opisanych wyżej ogródkach powinna panować wyuzdana, gwarna swoboda. Publiczność tu bowiem głównie stanowią słomiani wdowcy i wolna młodzież, oraz te, które mają za zadanie nie dozwolić pierwszym wyjść z wprawy w „obowiązkach małżeńskich“ i przygotować drugich do umiejętnego ich podjęcia. Ktoś nawet z moich znajomych obstawał przy tem, że Petersburg w lecie nie posiada teatrów proponując dla nich gorąco inną nazwę, tę samą, którą Bordnave w „Nanie“ tak uparcie mieni swój własny teatr. Niepodobna nie uznać trafności tej uwagi, gdy po przedstawieniu widzi się „artystki“ i „damy z publiczności“ siedzące w przygodnych parach z mężczyznami przy stolikach restauracyjnych.

Wogóle publiczność podczas przedstawienia przechadza się jakoś senna. Fizyognomie nawet przy kosmopolitycznej różnorodności sprawiają wrażenie monotonne. W odzieży widoczna jest pewna staranność, ale brak tej elegancyi, która uderza w Warszawie. Korespondenta *Nowego wremieni* przed niedawnym czasem tak zraziła strojność naszych dam w Saskim Ogrodzie, że wydało mu się, iż jest „w szpitalu dla obłąkanych.“

Pewną względną różnorodność stroju wprowadzają tutaj mundury oficerskie. Wojskowi stanowią też jedyną kategoryę ludzi, których „fach“ rozpoznają na pierwszy rzut oka (nie trudno!). Co do reszty, to z wyglądu człowieka nie potrafię tu w większości wypadków wnioskować nic o jego zajęciu i stanowisku. Być może po części zależy to od stosunkowej krótkości mojego tutaj pobytu, a nie od jakiejś trudności zasadniczej.

Bądź co bądź z tęsknem westchnieniem rozmyślam o tem, jak to ongi w Warszawie z łatwością rozpoznawałem różnorodne typy, porobiwszy uprzednio studya na rysunkach *Kuryerka świątecznego*. Wiedziałem dobrze, że do owego jegomościa o sumiastych wąsach, o ogorzałej twarzy, można dostąpić śmiało z zapytaniem: „jak obrodziły kartofle?“ Nie myliłem się też w przekonaniu, że do tamtego o załamanym nosie i biegających oczkach można dojść z prośbą o pożyczkę. A chociaż pierwszy często odpowiadał: „nie wiem, bo szelmy nic mi ze wsi nie piszą!“ a drugi: „pan u mnie nic nie potrzebujesz dostać!“ — to przecie wiedziałem, że zwrócenie się do pierwszego o pożyczkę, a do drugiego o wiadomości z roli, (oczywiście przez małe *r*), byłoby błędem godnym półgłówka.

Swoją drogą obawiam się, że sążniste opisy fruwających baletów i studyów, poczynionych na szansonetkach, dosyć podobną opinię wyrobiły mi w oczach czytelnika *Prawdy*. Może jednak zechce on wybaczyć mi chęć objektywnego przedstawienia mu, czem bawi się i zabija nudę dzisiejsza publiczność. Jest to tem godniejsze uwagi, że pod tym względem życie Petersburga odbija pono życie wszystkich większych stolic zachodu. I tu i tam powiał wietrzyk od wirowania tych samych krótkich spódniczek; i tu i tam popłynęły wartkiem łożyskiem też same szansonetkowe piosenki; i tu i tam akrobatyczni bracia (akrobata ma zawsze braci) wysilają się na coraz efektowniejsze łamańce. Rychło czekać, a i Warszawa zawróci w tym samym kierunku...

Gdyby jednakże surowy czytelnik nie wybaczył mi mojego grzechu, to po rozgrzeszenie zwrócę się chyba do białej nocy petersburskiej, która i mnie, niewinnego, pędziła do tych ogródków, a dzisiaj bezsennemu włożyła pióro w rękę gwoli oddania im należnego hołdu ku zbudowaniu moich rodaków.

Leo-Belmont.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XI.

18 lipca, Chicago, w Świątyni masońskiej.

Cokolwiek przyszłość przyniesie, imię Chicago pozostanie — w architekturze. Albowiem miasto to powołało do życia swoją własną architekturę: olbrzymie gmachy, piętrzące się w górę rzędami okien. Mity biblijne dochowały nam legendę o ukaraniu zarozumiałości ludzkiej, która wieżą usiłowała przebić niebo; kapitaliści chicagoscy podjęli też dumny zamiar i zbudowali „drapacze nieba,“ swoimi wierzchołkami urągające chmurom. Drożyzna placów dzielnicy handlowej jest straszna, po kilka tysięcy dolarów za stopę kwadratową. Budynki, nie mogąc rosnąć w tuszę, jak chojaki w gęstwinie, strzelają cienko i wysmukle ku górze. A co zaczęła konieczność, dokończyła moda. Kiedy jeden plutokrata zyskał sławę, że zbudował najwyższy dom na globie, inny zazdrosny sięgnął po palmę pierwszeństwa, aż nareszcie, jako ostatni owoc współzawodnictwa, stanęła Świątynia masońska o 24 piętrach, przyczem czterech górnych jakoś niepodobna odnaleźć. Doszło do tego, że w niektórych okolicach dzielnicy handlowej drapacz nieba ulokował się przy drapaczu. Kiedy zatrzymam się na rogu ulic Adamsa i Dearborna i skieruję wzrok w głąb tej ostatniej, widzę przed sobą niemal jedynie takie nowożytne wieże Babel. A nietylko piętrzą się one zuchwale ku górze, niekiedy i tusza jest nader pokaźną — front wytrzeszcza na ulicę setkę ócz, a każde z nich lśni się złotymi i srebrnymi napisami. To szyldy, wypisane na szkle. Jakiś karlik, który wlazł pomiędzy olbrzymów, nie wstydzi się posiadać siedmiu piętr wysokości.

* * *

Siedzę na któremś, sądzę, że na ósmem piętrze, w Świątyni masońskiej, na wygodnej drewnianej ławce. Ławki te wraz ze spluwaczkami są jedynem drzewem, reszta — to ogniotrwały materyał. Rusztowanie z żelaza, podłoga z mozajki granitowej, pokrywająca terrakotowe ciało, słupy z żelaza, schody z żelaza i pośledniejszego marmuru. Tu i owdzie czepiają się murów i słupów szklanne kwiaty: kielichy, dzwonki, to lampki elektryczne. Czwartą część gmachu zajmuje idący półkolem rząd elewatorów — jest ich 16, a taki powóz z ludźmi sunie co chwila na dół lub wznosi się ku górze. Osoba stoi w nim przy osobie— pełniusieńko! Elewatory są w bezustannej pracy — wogóle nam, europejczykom, trudno nawet zrozumieć, jak niezbędną częścią handlowych gmachów w Chicago są te przyrządy. W większości wypadków schody stanowią organ szczątkowy. Ale ten i ów architekt, uznając ich bezużyteczność, nie może jeszcze wyzwolić się z powijaków tradycyi. Zdołał on wybudować dom 24-piętrowy, lecz pozbawić go schodów — nie, nie posiada tyle odwagi! Wypoczywam od pół godziny, czynię notatki, elewatory migają w tę lub inną stronę, może do tysiąca osób podniosło się lub spuściło, a jednak na najbliższe piętro nikt nie wszedł po schodach — przepraszam, właśnie teraz stąpa listonosz. Schody są do tego stopnia bezcelowe, że w jednym budynku, *Chamber of Commerce*, właściciel ujednostajnił komorne na wszystkich piętrach! Istnieje jednak drapacz, który usunął ten szczątkowy organ i zniósł schody zupełnie. Dziwna śmiałość! Człowiekowi bowiem łatwiej zburzyć za sobą wszystkie mosty, aniżeli przeniewierzyć się jakiemuś drobiazgowi tradycyi... Marmurowe schody prowadzą tylko na pierwsze piętro, później nikną. Elewatory podnoszą i spuszczają interesantów. Każdemu towarzyszy puls elektryczny, pokazujący, czy powóz idzie na dół, czy ku górze, na jakiem piętrze się znajduje. Gmach 16-piętrowy i bez schodów, takie jest ostatnie słowo wielkomiejskiej architektury!

* * *

System elewatorów jest przełykiem pokarmowym drapaczów. Zajmuje on w organizmie sporo miejsca, blisko czwartą część w Świątyni masońskiej. Reszta, to celki, przeznaczone na różne *offices*, Świątynia masońska jest bowiem olbrzymim przybytkiem Mamony. Rzekłbyś, gołębnik robigroszów. Przed jego otworami na każdem piętrze znajduje się wolna przestrzeń, z której wychodzą korytarze. Wzdłuż nich widnieją drzwiczki, opatrzone numerami: tu obrał sobie siedzibę kantor jakiegoś adwokata, tam dentysty, lekarza, wrażenie klasztoru z jego wązkimi a długimi korytarzami i mnóstwem celek, ale bez klasztornej ciszy. Ludzie wychodzą i wchodzą. Przez odemknięte drzwi można spostrzedz w *office'ach* bogate umeblowanie, jest to jedna z konieczności reklamy. Z kilku wydobywa się śmiech, ktoś wyświstuje jakąś aryę mocno podkasanej natury, dziatwa nowoczesnej Mamony zwykle uprawia jeszcze kult innej bogini, jest nią *Venus vaga*.

19 lipca, Wystawa.

Odkąd wszedłem w progi pawilonu przewozowego towarzystwa *White Star*, but, widziany z okien tramwaju, prześladuje bezustannie moją wyobraźnię. Skład obuwia, a nad drzwiami, zamiast szyldu, olbrzymi, złocony but! Do jakich rozmiarów wyrosła ta niepokaźna cząstka naszego przyodziewku i w jakie ubrała się złociste szaty! Proszę mi wskazać inną epokę dziejową, prócz naszej, w której moglibyśmy napawać swoje oczy takimi butami, kapeluszami, okularami. Reklama, niby cudowne drożdże, rozdęła nicość do potwornej wielkości, zwykłą drewnianą tandetę pokryła blichtrem, a nietylko tak działa w świecie butów i kapeluszy, lecz także kiedy idzie o bohaterów nowoczesnych... Czyż tego szyldu nie powinniśmy wziąć za symbol naszej doby, jak znicz był symbolem barbarzyńskiej gminy rolnej? A kto wie, jak daleko jeszcze zajedziemy! Jakiś pomysłowy yankee — zgrzybiała Europa na to się nie zdobędzie, nie dlatego, żeby zbywało jej na chęciach, ale ponieważ zanadto jest ślamazarną — może wystawi jeszcze kamienicę w kształcie buta, służącą za skład obuwia.

Czyż but nad szyldem, z wierzchu kapiący złotem a wewnątrz może stoczony przez robactwo, rozwielmożniony do potworności, nie jest alfą i omegą wszelkiej reklamy, wszelkiego popisu, wszelkiej wreszcie wystawy? Dzisiaj zwiedziłem pawilony, wystawione przez różne towarzystwa kolejowe i parostatkowe, a na każdym kroku staje przede mną... but, jako objawienie geszefciarstwa. Co oglądam np. w pawilonie *Gwiazdy białej*, w którym gapią się — niemając nic innego, lepszego, do roboty w tym pałacyku — od kilkunastu minut? Kajuty okrętowe, każda na jedną osobę, z olbrzymiem łożem na sprężynach, marmurową umywalnię, jadalnię, gdzie każde krzesło jest fotelem, a stół pokryty srebrem, salon do palenia, w którym szeslongi zapraszają do drzemki; modele parostatków. Czy tak wygląda rzeczywistość? Istotnie, owe modele pod szkłem są podobiznami rzeczywistych parostatków, zapomniano jedynie nadmienić, że procz tej arystokracyi istnieje on tylko na pokładzie nielicznych statków i tylko w obrębie pierwszej klasy! Wzięto dwa, trzy okazy najlepsze, a z nich wybrano znów najwytworniejsze ustępy, o kopciuszkach zamilczano. To nazywa się wystawą, która winna nas poznajomić z teraźniejszością!..

Po głowie kręcą się w kółko te same obrazy. Złoty but — reklama — wystawa, wystawa — złoty but — blaga, blaga na małą skalę — wystawa magazynów, wielki humbug i popis międzynarodowy... Czem jest ostatecznie Biały gród? Czem wystawa?

* * *

Wystawa? Ostatecznie czem jest ona? Wystawą, tj. zbiorem produktów ręki ludzkiej, zdobyczy ludzkiego umysłu, owoców ludzkiej wynalazczości. Jest dalej rachunkiem sumienia naszej kultury, spowiedzią z dokonanego postępu.

Czem jest wystawa? — jeszcze raz rzucamy zapytanie. Pamiętajmy, że odbywa się ona nie w próżni, ale w ramach pewnego ustroju, że ów ustrój, którego Biały gród jest mauzoleum, znalazł swoją dewizę w wzajemnej konkurencyi, że jego najwznioślejsze przykazanie — to *money making* — o każdym czasie, w każdem miejscu i wszelkimi środkami. A zatem czem jest wystawa? Czy obrachunkiem dokonanego postępu, popisową koncentracyą wytworów ludzkiej zapobiegliwości? Lubię Amerykę, posiada ona wady, ale jeszcze większe cnoty. Między innemi nie zna europejskiej hypokryzyi i każdą rzecz nazywa po imieniu. Wystawę ochrzciła poprostu nazwą *World's fair*, tj. jakby międzynarodowym kiermaszem, wszechświatowym bazarem, tak samo, jak na *State street* istnieje mniejszy, handlujący wszystkiem, czem jawnie można handlować. Złączmy z całego świata okna wielkich magazynów i składów z właściwą im pstrokacizną towarów, zbierzmy reklamy olbrzymich przedsiębiorstw w postaci modelów, okazów i reklam, ulokujmy je w tem samem miejscu, ale rozdzielmy według dziedzin, ten popis geszefciarzy urozmaićmy nielicznymi planami publicznych robót i zakładów, a otrzymamy to, co yankee ochrzcił właściwie wszechświatowym bazarem. Biały-gród jest wystawą *businessowców*, popisem współzawodników i, co za tem idzie, areną zapamiętałych wyścigów, balem, gdzie każdy odsłania wszystkie swoje wdzięki, gotów odrzucić nawet listek figowy. Tajne — nie są powabne, nie pozwalają bowiem się spieniężyć. A czyż jakikolwiek bal jest rachunkiem sumienia? Najwyżej popisem blagi, obłudnego różu. Tak, jesteśmy na balu! W tanecznym wirze unoszą się przed nami eleganckie stroje, ale strzeżmy się z tego świątecznego obrazu sądzić o życiu codziennem. Kosztowna suknia może ukrywa poszarpaną koszulę...

Wielki humbug! — powiedział jakiś szwed o Białym-grodzie. Nie, tak źle nie jest, chociaż przybyszowi ze starej części świata, który po raz pierwszy dostał się w wir życia amerykańskiego, na razie tak zdawać się może. Humbugiem wystawa nie jest, poznanie jej zastąpi kilkoletnie suche studya książkowe. Strzeżmy się tylko jednego: brać jej za szczery rachunek sumienia. A inną być nie może! Sądzę, że w Białym-grodzie „money making society“ — ustrój robigroszowy — dało, co tylko dać mogło najlepszego.

L. K.

LIBERUM VETO.

Interviewy. — Materyał do biografij pisanych przez lokajów sławnych ludzi. — Dawniej a dziś. — Zmniejszające szkła reporterów. — Rabini dziennikarstwa. — Niewyzyskane źródła badań. — Sfinks chłopski i jego zwierzenia emigracyjne. — Młodzież powracająca do szkoły. — Odwrócona gama głosów ojcowskich. — Krople wody i oliwy. — Marzenie i rzeczywistość.

Jeżeli czytelnicy gazet, spotkawszy w nich jeszcze raz *interview* reportera z jakimś pisarzem (koniecznie francuskim) lub jakąś „gwiazdą“ koncertową lub sceniczną, nie wpadają w furyę, nie drą dziennika na kawałki, nie depczą nogami, nie krzyczą i nie płaczą z bólu, to najdowodniej przekonywa, że *fin de siècle* nie jest jeszcze bynajmniej zdenerwowanym. Bo wyobraźmy sobie najordynarniejszego i najbardziej zahartowanego Bartka, któremu w odstępach kilkodniowych ktoś powie:

— Wikary naprzód wdziewa spodnie, potem buty, proboszcz naprzód buty, potem spodnie, a biskup buty i spodnie razem.

— Naczelnik ma zegarek srebrny, a dyrektor złoty.

— Dziedzic po wódce je piernik, a rządca kiełbasę.

— Wikary śmieje się: hi-hi-hi, proboszcz: ha-ha-ha, a biskup: ho-ho-ho!

— Naczelnik woła na żonę: moja zapomogo, a dyrektor: moja gratyfikacyo.

— Dziedzic klnie: milion dyabłów, a rządca: sto dyabłów.

— Wikary... itd.

Co ten Bartek rzekłby po miesiącu takich informacyj? Wyspałby nauczycielowi więcej dyabłów, niż dziedzic. Czytelnik gazet jest cierpliwszy. On słucha *interviewów*, w których Zola, Dumas, Coppée, Rossi, Sarassate, Patti spowiadają się: na jakim papierze piszą, o której godzinie wstają, co jedzą, jak się zachowują po ukąszeniu komarów i innych owadów ludzkiej krwi chciwych, jak się ubierają, kiedy usta płuczą itp. Czasem owi mistrze zapytywani są, co myślą o walce kapitału z pracą, hypnotyzmie, czwartym wymiarze przestrzeni, losach Konga, bilu irlandzkim, budowlach szklanych, mowie małp, doświadczeniach Kraft-Ebinga itd. Zwłaszcza zaś francuzi objawiają gotowość do odpowiedzi i wszystkie te kwestye rozstrzygają skwapliwie, najchętniej jednak odsłaniają tajemnice swego życia. Gdyby mi pamięci w tym względzie nie paraliżował wstręt do głupstw, wiedziałbym doskonale: jakich skarpetek używa Zola, o której godzinie Patti pozostaje z Nicolonim sam na sam, kiedy Tacyta... ach, nie! — Rinaldiniego odczytuje Kochańska, ile ostatnia miłość kosztuje Dumasa i co największy ze współczesnych *izmów* — idyotyzm sądzi o rozmaitych izmach naszej epoki.

Nie można twierdzić, ażeby ta epoka nie posiadała ludzi wielkich, ale nie ulega wątpliwości, że reporterowie — ci włażący i wyrzucani przez wszystkie drzwi i okna agenci ogłoszeń „sensacyjnej nowiny“ — wszystkich uczynili małymi. Czasy dawniejsze jakoś bardziej sprzyjały palcniu się potężnych myśli i uczuć w głowach i sercach ludzkich. Uczony wynurzał się przed uczonym, artysta przed artystą ze swemi sprawami prywatnemi, ale także odkrywał mu świat swoich idei, a przechowane ich listy są niezmiernie ciekawymi dokumentami literatury i sztuki. Dziś człowiek sławny nie zwierza się równym sobie, lecz pozwala się rozbierać i wystawiać na widok publiczny przedsiębiorcom ciekawostek i ich agentom, którzy żądają od niego takich tylko szczegółów, z jakich ułożyłby biografię lokaj. Czy pan palisz cygara, czy pijesz wino, czy uczęszczasz na koncerty, czy lubisz krochmalone koszule, ile zjadasz mięsa dziennie, czy ubierasz mieszkanie obrazami, czy wstajesz rano— oto są zwykłe pytania, zadawane mistrzom teraźniejszym. To też wiemy, jakie smutki i radości swojego czasu nawiedzały duszę Schillerów, Börne'ów, Lamartine'ów, Shelleyów, Mickiewiczów, ale doprawdy chyba nikt nie wie, co trapi i rozwesela duszę Dumasów, Zolów i Bourgetów po za honoraryami i kłopotami osobistymi. Prawdopodobnie nic lub bardzo mało. Zatyli się w dobrobycie, rozdęli sławą, ogłupili swojemi formułkami estetycznemi, kontenci z widoku gromady reporterów pokazują nam swoje salony, sypialnie, kuchnie, skarpetki, chustki do nosa, koszule, a czasem nawet metresy. Umieją najbłahsze wspomnienia swej młodości przekuć na złoto, gotowi wywieszać publicznie swoje dziecinne majtki, jako cenne relikwie literatury, wozić całą ludzkość do miejsca, gdzie po raz pierwszy dostali w skórę, zabawiać ją ciągle swoją autobiograficzną czkawką. To nie są słupy ogniste, przyświecające światu swoim geniuszem, w którym skupiają się wszystkie promienie epoki, ale różnobarwne i migotliwe latarki, które byle reporter zawiesza sobie na plecach i pędzi przez ulicę z krzykiem dla zwabienia za sobą czeredy gapiów. Niektórzy z nich wyglądają jak rezerwoary dziennikarskiej wody, u których dość odkręcić kruczek, ażeby ona natychmiast trysnęła we wszelkie naczynia. Zamierzono psy zabijać gazem — zaraz pojawia się *interview* z Zolą w tym przedmiocie. Anglia kłóci się z Ameryką o połów fok w cieśninie Berynga — Zola wlewa w uszy reportera swoje zdanie o tej sprawie. Edison wynajduje fonograf, papież wydaje encyklikę, robotnicy w kopalniach węgla zawieszają pracę, Hirsch zakłada kolonie żydowskie w Argentynie, odnajdują grób Kleopatry, zmieniają system karabinów, w Pradze biją się czesi z niemcami — o wszystkiem zaraz wyrokuje Zola. Śmiejemy się z ciemnych żydów, którzy z najdalszych okolic jeżdżą do cadyka w Kocku lub Grodzisku, ażeby im powiedział: czy zarobią na dzierżawie sadu w Płowej Wólce, czy będzie wojna lub czy bezpłodne żony będą miały dzieci. Albo nasze *interviewy* z Zolami i Dumasami są czemś wyższem? Bynajmniej. Tacy my głupi, tak samo tworzymy sobie rabinów, z tą chyba tylko różnicą, że ich rabini są zawsze od nich mędrsi, a nasi — nie.

Przypuszczam jednak, że te ustawiczne i bzdurne *interwiewy*, w których każdy dyplomata daje osłom wiązkę politycznego siana, a każdy literat lub artysta wsypuje im do żłobu kosz sieczki — już znudziły przynajmniej rozsądniejszą część ogółu. Przeczytać powieść Zoli (chociażby przytem często pluć trzeba było) warto, ale słuchać o jego ćwiczeniach na bicyklu lub o udziale w licytacyach obrazów — trudno. Ponieważ zaś pragnieniem chwili obecnej jest chęć wywrócenia życia wnętrzem na wierzch zapomocą rozmaitych rozgrzebywań, wywiadów, odkryć i *interviewów*, zatem zwróćmy naszą ciekawość w inną stronę, tam, gdzie ona nader pouczająco

zadowolić się może. Prawie wszyscy wielcy i głośni ludzie w Europie już się wygadali do dna dusz swoich, natomiast istnieją milczące całe masy istot, którym nikt ust nie otwierał. Tak np. kto *interviewował* nasz lud, który okazuje dziwne cnoty i występki, który od wieków przyrósł do ziemi a teraz od niej się odrywa i ucieka za morze, który jest naiwny i przebiegły, litościwy i okrutny, zatwardziały w pojęciach własności i zupełnie im obcy. Rzeczywiście opukiwano go trochę, gdy gromadami pędził do Brazylii — a wyznania emigrantów były może najciekawszymi *interviewami*, jakie pojawiły się kiedykolwiek w naszej prasie. Wkrótce jednak zaniechano tych badań, zastąpiwszy je zmyśleniami, które już zdala pachniały kłamstwem, i skierowano uszy ku rozmówkom ze znakomitościami Paryża. Jużci przecie reporter wolał słuchać (bodaj przez telefon prasy zagranicznej) Zoli, niż Wojtka z Siwej Kępy, który nawet nie zaostrza sobie apetytu przedobiednią jazdą na rowerze.

Przed paru tygodniami jeden z pensyonarzów warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności prosił nas, ażebyśmy mu przysłali kogoś z redakcyi dla *interviewu.* Żałujemy mocno, że nie mając w piśmie miejsca na pomieszczenie tego rodzaju zwierzeń, nie mogliśmy zadośćuczynić jego żądaniu. Przypuszczamy jednak, że ów biedak opowiedziałby nam wiele rzeczy daleko ciekawszych, niż historya o psie Bourgeta.

W tej porze wracają uczniowie do szkół z wakacyj. Ciągną tłumy malców na bryczkach, wozach, kolejach żelaznych i statkach parowych.

— Czy was nikt nie *interviewuje*? — zapytałem jednego z nich.

Nie zrozumiał pytania, a gdy mu je objaśniłem — zarumienił się.

— Pan żartuje — rzekł.

— Wcale nie — odparłem.

— A cóż my moglibyśmy powiedzieć godnego uwagi?

— Jakto — a wasze rozrywki wakacyjne, obecne usposobienie, zdrowie, humor, waga... to nie ma znaczenia? No przyznaj mi się, mój chłopcze, który też z *aorystów* okazał ci się przydatniejszym w życiu!

Malec spojrzał na mnie zdumiony.

— Chyba pan nie wie — bąknął — co to są *aorysty.*

— Wiem, mój przyjacielu. Zatem nie zrobiłeś jeszcze między nimi wyboru?

— Owszem, wolę łatwiejszy.

Nie umiem prowadzić *interviewu*, więc rozmowa nasza się przerwała. Związał ją wszakże ojciec ucznia.

— Głupi jeszcze, już ma rzadką minę, chociaż jest dopiero w trzeciej klasie. Kiedy ja chodziłem do szkoły, to każdy ojciec tem głośniej mówił, w której klasie jest jego syn, im była wyższa. A skoro chłopak wszedł do uniwersytetu, papa huczał jak grzmot: kończy akademię! Teraz przeciwnie: im syn wyżej, tem ojciec ciszej o tem mówi.

— Ma pan starszych?

— Pod sekretem: dwu, jeden wpadnie kroplą do morza medycyny, a drugi takąż kroplą do morza adwokatury i obaj mają nadzieję, że wypłyną na wierzch, jako krople oliwy.

— Po cóż pan ich na tę drogę wprowadziłoś?

— Bo widzi pan, my ciągle marzymy, że to stanie się owem, że woda zamieni się na oliwę, że... Ech, o co dziś ludzie najbardziej się dobijają i najgłośniejsze podnoszą krzyki? O losy loteryjne. A przecie nie wszyscy wygrywają. Dziś jeden syn mój wierzy, że będzie Chałubińskim, a drugi, że będzie Brzezińskim, a...

— A za trzy lata koledzy zaczną ich wywozić na prowincyę...

— To też mówię o nich cicho.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

REFORMA BANKU WŁOŚCIAŃSKIEGO.

Kilkoletnia działalność instytucyi kredytowej, przeznaczonej dla ludu przekonała wymownie o wielu brakach ustawy, których całkowicie nie można było przewidzieć z góry. Dopiero materyały, nagromadzone aż w pięciu tomach, dały możność sferom prawodawczym rozejrzeć się w istotnym stanie rzeczy. Okazało się, że kredyt, który miał podźwignąć z upadku i wzmocnić gospodarkę chłopską, działał wprost przeciwnie. Słabsi, otrzymawszy pomoc, tracili jeszcze bardziej siły. Zakupionego gruntu nie mogli uprawiać należycie skutkiem pierwotnej kultury i z braku odpowiednich środków, niezbędnych w produkcyi rolnej (dostatecznej liczby inwentarza, narzędzi itd.). Silniejsi dawali sobie rady. Znane są już naszym czytelnikom charakterystyczne wypadki przechodzenia gruntów właścicieli uboższych w ręce zamożniejszych sąsiadów, jako zastaw za pożyczkę prywatną dla zaciągnięcia bankowej. Pożyczkobierca w procencie oddawał swój plon i pracę. Traciły wszakże nietylko masy, szukające kredytu, ale także ponosił wielki uszczerbek sam Bank; musiał bowiem niekakuratnych dłużników licytować i tym sposobem narażać się na koszty niepotrzebne. Ta właśnie ostatnia okoliczność najbardziej wpłynęła na przyspieszenie zreformowania ustawy. Przed kilku tygodniami rozpoczęły się już narady specyalnej komisyi, która przyspieszyła swą pracę, ażeby módz wykończony plan reformy złożyć jaknajprędzej radzie państwa. Zasadnicza treść nowej ustawy jest dziełem zarządu Banku.

Celem kredytu dla włościan jest nietylko chęć dopomożenia do rozwoju drobnej posiadłości, lecz także ułatwienie korzystania z gruntów w formie dzierżawy. Bank daje pożyczki na zakupienie ziemi tudzież na wzniesienie wszelkich niezbędnych budowli. Ważnym jest ten szczegół, iż instytucya, służąca potrzebom włościan, nabywa grunty na własny rachunek i potem sprzedaje cząstkowo lub wydzierżawia. Z pożyczek korzystają oddzielni włościanie, gromady (w liczbie najmniej trzech i najwięcej trzydziestu gospodarzów), wreszcie towarzystwa i całe wsie, liczące nie więcej nad 50-ciu gospodarzów. Towarzystwa mogą otrzymywać pożyczki tylko na zakupienie gruntów dla osiadania na nich, ale przylegających do posiadłości gromadzkiej lub odległych od gospód najdalej o dwie wiorsty. Dopuszczenie gromad włościańskich do kredytu jest punktem w ustawie, stanowiącym późniejsze dopełnienie. Pierwotnie proponowano prawo korzystania z pomocy bankowej tylko pojedynczym osobom i oddzielnym towarzystwom. Pożyczki wydawane są według normalnego lub specyalnego szacunku gruntów zastawianych. Normalny szacunek ustanawia minister skarbu, za zgodą innych, odpowiednio do panujących cen ziemi. Specyalny odbywa się w tych razach, gdy dla danej miejscowości nie ustanowiono skali normalnej, lub gdy oddział Banku nie widzi dostatecznej rękojmi dla pożyczki udzielonej według szacunku normalnego. Dla oceny powinna służyć między innemi przecięta wartość sprzedażna gruntów w danej miejscowości tudzież średnia ich wydajność. Pożyczki mogą być udzielane w stosunku najwyżej 60% normalnej oceny i 75% specyalnej. Ale przy kupnie, dokonywanem przez oddzielne jednostki lub towarzystwa w formie osobnego przez każde z nich władania, rozmiar pożyczki może być podniesiony do 90% w stosunku do oceny normalnej, w tych razach, jeżeli nabywcy przed otrzymaniem zapomogi kredytowej już się zabudowali na zakupowanych gruntach. Do takiej samej wysokości mogą być także podnoszone zapomogi już wydane w rozmiarach 75% specyalnego szacunku w tych wypadkach, jeżeli pojedynczy pożyczkobierca zabuduje się już po otrzymaniu zapomogi w rozmiarach mniejszych (75%), lub gdy towarzystwo po otrzymaniu zapomogi ostateczne poczyni rozgraniczenia gruntów i wszyscy członkowie się zabudują na nich. Ogólne korzystanie z niektórych części posiadłości nabytej (młyny, wygony, lasy itd.), nie może być przeszkodą w zwiększeniu rozmiarów pożyczki do 90%, jeżeli się na to zgodzi $^2/_3$ członków rady banku i jego dyrektor. Najwyższe rozmiary pożyczki dla każdego gospodarza są następujące: według szacunku normalnego 900 rs., według 75% specyalnej oceny 1125 rs. i przy skali w stosunku 90% — 1350 rs. Pożyczki wydawane są na termin od 11-tu do 51 lat, miesięcy 9-ciu. Amortyzacya odbywa się w stosunku do terminu, na jaki pożyczka udzielona została. Rozmiar rocznego potrącania wogóle wynosi 12,75% przy terminie jedenastoletnim i 6% przy najdłuższym.

W razie niekakuratności płacenia rat półrocznych, Bankowi służy prawo zagarniania dochodu z zastawionych gruntów lub ich części; sprzedawania tych nieruchomości i budynków wzniesionych na gruncie zastawionym, które nie są niezbędne w gospodarstwie dłużnika; pozbawienia dłużnika prawa na termin najwyżej dwuletni, korzystania z gruntu zastawionego lub jego części i obracania dochodu z tego źródła na rzecz długu. Wreszcie służy prawo usuwania z łona towarzystwa tych jego członków, którzy zalegli w opłatach przez dwa lata. Nieopłacanie należności w ciągu roku pociąga za sobą sprzedaż majątku, przyczem bank może nie sprzedawać tych gruntów, z których da się ściągnąć należność w powyższy sposób.

W razie klęsk żywiołowych dłużnicy korzystają z ulg, tj. mogą otrzymać odroczenie na rok jednej raty półrocznej, lub na trzy lata dwóch rat z obowiązkiem spłacenia zaległości w równych ratach półrocznych. Za odroczenie dłużnicy płacą od sum zaległych 6%. Powtórzenie się klęsk daje prawo do nowych ulg.

W zreformowanej ustawie widzimy jeden ważny szczegół: ograniczenie liczby pożyczkobierców za pomocą usunięcia znacznych gromad i towarzystw wiejskich uboższych włościan, którzy przedstawiają najmniejszą rękojmię zwrotu pożyczek. Ponieważ zmiana taka może wpłynąć ujemnie na operacye Banku, więc twórcy nowych przepisów starają się rozszerzyć zakres jego działalności w innych kierunkach, mianowicie — nadanie kredytowej instytucyi prawa nabywania gruntów na jej własny rachunek. Ma się to odbywać w sposób następujący: Bank zakupuje majątki z wolnej ręki lub na licytacyach, następnie odprzedaje owe grunty włościanom lub oddaje w dzierżawę gromadom, towarzystwom lub oddzielnym jednostkom. Bank nabywa ziemię bądź sam, bądź za pośrednictwem ziemstw. W pierwszym wypadku na mocy postanowienia rady i zgody zarządzającego. Na kupno za cenę przewyższającą 45,000 rs. wymagane jest osobne rozporządzenie ministeryalne. Grunty nabyte Bank odprzedaje włościanom bądź za gotówkę, bądź według zasad powyżej wyłuszczonych. Sprzedaż lub wydzierżawianie takich posiadłości osobom pochodzenia niewłościańskiego, jest możliwe tylko w razach wyjątkowych gdy np. chodzi o zabezpieczenie Banku od strat.

Drugą ważną nowością w ustawie jest wydawanie pożyczek na wznoszenie nie-

zbędnych w gospodarstwie budowli zarówno oddzielnym włościanom jak i towarzystwom, które się dzielą na dwie lub więcej wsi. Takie zapomogi kredytowe są udzielane albo bezpośrednio przez bank, albo też za pomocą innych instytucyi, mających styczność z potrzebami ludu. Budowle, na które pożyczki będą udzielane, obowiązkowo muszą być ubezpieczone.

Jak widzimy, Bank się stara w zreformowanej ustawie przedewszystkiem o zabezpieczenie własnej strony finansowej kosztem różnych ograniczeń. Jednocześnie zaś ci najbiedniejsi, których usunięto od prawa korzystania z pożyczek, będą mogli brać ziemię w dzierżawę od banku zapewne na korzystniejszych warunkach niż od właścicieli prywatnych. Paragraf nadający instytucyi kredytowej prawo ściągania należności z dochodów, usunie w znacznej mierze tę smutną konieczność, rujnującą włościan: przymusową sprzedaż gruntów. W takim razie wytworzy się potrzeba wnikania w sposób prowadzenia gospodarki chłopskiej, a to może będzie bodźcem do ułatwień dla wprowadzenia wszelkich ulepszeń i racyonalnych narzędzi w gospodarstwie włościańskiem. Prawo nabywania przez Bank ziemi i następnie sprzedawania jej, będzie miało tę dobrą stronę, że pożyczkobiercy unikną długiego szeregu formalności, które zwykle towarzyszą przy wszechstronnem ocenianiu gruntów, jakie włościanin ma zakupić za pieniądze pożyczone.

Drog.

ROLA DZIEJOWA RYNKÓW.

III.

Towar jest Ahaswerusem obecnej doby. Za to, że nie chciał przynieść ulgi cierpiącym, skazany został na wieczne tułactwo po targowicach świata. I błąka się tak bez końca, nie mogąc nigdzie zatrzymać się na dłużej, zmuszony do ciągłej wędrówki z rynku na rynek. A istnienie jego (jako towaru) przynosi częstokroć tak mało korzyści wytwórcom, jak życie Ahaswerusa.

Społeczeństwo, sprzedające na obcych rynkach towarów za sumę $a+b$ — pieniądze a użyje na zakup cudzych produktów, kwotę zaś b przywiezie nietkniętą. Nazwijmy więc czynności handlowe z towarami *a wymianą*, a z towarami *b* — *sprzedażą*; w pierwszym wypadku chodzi o zdobycie obcych towarów dla spożycia ich w kraju, w drugim — li tylko pieniędzy. W rachunku swoim dwa te procesy rozpatrzymy oddzielnie.

Wymiana. Chcąc ocenić społeczne korzyści lub straty, odnoszone z wymiany towarów, musimy przyjąć jako miernik jednostkę pracy ludzkiej. Wiele produktów nabywanych na obcych rynkach dałoby się wytwarzać w kraju — trzeba więc ocenić, czy i na ile dane społeczeństwo oszczędza swoją pracę przez proces wymiany. Według teoryi wartości, opartej na pracy, towary wymieniają się w stosunku tkwiącej w nich społecznie niezbędnej jej ilości. Wiemy jednak, że produkt pracy dziennej mało płatnego szewca może się wymieniać na wytwór drożej płatnego optyka, który przedstawia tylko ćwierć dnia jego pracy. Sprawę tę tłomaczą tem, że praca pierwszego jest prostą, drugiego zaś — złożoną. Wiemy jednak również, że mogą one zmieniać swoje stanowisko na drabinie przemysłowej — praca złożona spada na poziom prostej i odwrotnie. Z drugiej znowu strony ci sami ludzie zdolni są do wykonywania czynności i prostych i złożonych. Szewc może pracować i w warsztacie i w fabryce obuwia, gdzie robota jego będzie rozmaicie wydajną, a postawienie go w tych lub innych warunkach wytwórczych zależy od okoliczności. Przy wymianie produktów dwóch krajów — praca jednego może występować jako prosta lub złożona względem drugiego. A ponieważ chodzi nam o ocenę korzyści lub strat, płynących z danego systemu wydatkowania pracy, więc w rachunku złożonej i prostej nie uwzględnimy, lecz rozpatrywać będziemy społecznie niezbędną dla jednego i drugiego kraju.

Rynkami dla społeczeństw rozwiniętych przemysłowo stają się zwykle mniej rozwinięte, a w wypadku tym wymienialność towarów nie w stosunku tkwiącej w nich, społecznie niezbędnej dla poszczególnych krajów, pracy jest obowiązkiem, ponieważ istnieją tam różnice wydajności jej, skali życiowej i płacy roboczej mieszkańców. Niech społeczeństwo wyżej rozwinięte wymienia towarów na sumę pieniężną C na produkta kraju mniej rozwiniętego, które oddaje ich na takąż sumę C' $(C=C')$. Cena jednak danej masy towarów równa się sumie wszystkich zysków + suma wszystkich płac roboczych. Zatem $C=Z+P$ i $C'+Z'=P'$. Niech $Z=Z'$ i $P=P'$, ale płacę P niech pobiera n robotników, P' zaś $3n$, czyli że przeciętna płaca w pierwszym kraju będzie trzy razy większą, niż w drugim. Jeżeli więc przypuścimy, że towary C i C' wytworzono w jednakowym okresie czasu, to C będą przedstawiały trzy razy mniej pracy ludzkiej od C'. Jednostka więc pracy, tkwiącej w towarach C, wymienia się na trzy jednostki, zużyte na wytworzenie produktów C'.

Pomimo to jednak takie silniejsze ekonomicznie społeczeństwo narażone jest tu na stratę. Posiada ono względny nadmiar produktów i ograniczone spożycie miejscowe. Przy istnieniu szerokiego rynku nadmiar ten jest wprost sprzedawany. Rynek jednak zewnętrzny wyczerpuje się i kurczy, a w wypadku tym część towarów dawniej *sprzedawanych* musi przejść do działu *wymienianych*, cena ostatnich się zniża i za zwiększoną ilość produktów otrzymuje się z wymiany dawną ich masę, określoną wysokością spożycia. Jeżeli więc przypuścimy rozpoczęcie wymiany dzięki temu, że za dany towar, owoc pewnych wysiłków, otrzymać można większą ilość obcych od produkowanych na miejscu kosztem tejże pracy, to w dalszym ciągu otrzymywać się będzie mniej. Wobec tego może objawić się dążność do wytwarzania tych, otrzymanych z wymiany, towarów u siebie, ale napotka przeszkody. Produkujące na rynek kraje specyalizują zwykle swoje zdolności i instytucye wytwórcze. W Anglii np. istnieją całe miasta, które wyrabiają przedmioty stalowe, bawełniane lub wełniane: własny kraj nie może ich pochłonąć, zaniechać produkcyi, przy tak wielkiem jej rozszerzeniu i wziąć się do innej niepodobna, i wymiana ze stratą musi istnieć. Dalej może być na razie brak sił fachowo uzdolnionych, produkcya nowych przedmiotów będzie rozwijać się powolnie i stopniowo; oprócz tego zanim spostrzeżoną i odczutą będzie wynikająca z wymiany strata — upłynie dosyć czasu; wreszcie mogą istnieć tamy naturalne dla pewnych gałęzi przemysłu, jak klimat, natura gruntów, bogactwo przyrody itd. Przy wymianie towarów dwóch krajów o jednakowym poziomie przemysłowego rozwoju może się ona wahać około ilości tkwiącej w wytworach pracy i średnio biorąc, wzmiankowana strata by nie istniała, ale w rozpatrywanym wypadku będzie inaczej. W chwilach pomyślnych dla społeczeństa silniejszego, wytwory jego będą się wymieniały na obce w takim stosunku, jak gdyby ostatnie produkowano u siebie kosztem tegoż wydatku pracy i odwrotnie: za towary kraju przemysłowo słabszego można chwilowo otrzymać taką ilość obcych, jak gdyby produkowano je na miejscu, przy pomocy najlepszych metod. Ale to będą granice, po za które zbyt daleko nie da przekroczyć współzawodnictwo i kurczenie się rynków zbytu, więc przeciętnie towary będą się wymieniały w jakimś pośrednim stosunku, wobec czego dla kraju o wyższym poziomie ekonomicznym musi istnieć strata.

Ale jeżeli tu silniejsze społeczeństwo traci, to może słabsze korzysta? Ono za trzy jednostki swojej pracy zdobywa zaledwie jedną w postaci obcego produktu, czyli że produkując u siebie według ulepszonych metod, kosztem tegoż wysiłku miałoby trzy razy więcej, najazd zaś obcych towarów nie pozwala na rozwój danej gałęzi miejscowego przemysłu. Strata więc przy wymianie jest obustronna i wynika z różnic wytwórczości i skali życiowej w danych społeczeństwach.

Sprzedaż. Względny nadmiar towarów (ponad potrzeby mieszkańców, określone ich skalą życiową) musi być *sprzedany*. Bodźcem dla czynności handlowych jest zdobycie pieniędzy. Są jednak całe kraje, do których nie dotarły jeszcze formy kapitalistyczne i gdzie handel istnieje tylko wymienny, bez udziału i pośrednictwa pieniędzy; kupiec tutaj liczy na otrzymanie ich w kraju. Niemniej jednak uzyskane tą drogą rozmaite produkty mogą posłużyć za laskę czarodziejską, odkrywającą nowe źródła dopływu pieniężnego. Przywiezione bowiem do kraju ulegną przerobieniu i sprzedaży na obcych rynkach, a w cenie ich wliczone zostaną koszta zdobycia. Tym sposobem czynności początkowo czysto wymienne, kończą się sprzedażą dla uzyskania dopływu pieniężnego.

Część towarów nie *wymieniana*, lecz *sprzedawana* przedstawia pewną ilość wysiłków ludzkich. Praca ta jest zmarnowaną. Zdobyte bowiem środki organizacyjne, pieniądze, na ile materyał ich nie jest obracany na rozmaite wyroby, na ile zatem wykonywują li tylko swoje pieniężne czynności, mogłyby być zamienione z łatwością inną ich formą bez daremnej straty wysiłków ludzkich. Oprócz tego pieniądze te, zdobywane kosztem wydatku pracy, których zadaniem jest dalszy rozwój danego społeczeństwa, nie będą obrócone w całości na organizowanie miejscowego przemysłu. W dążności tej napotkają przeszkodę w niskiej skali życiowej mieszkańców i wązkości zewnętrznych rynków. Dla niektórych zatem posiadaczy sum pieniężnych okaże się wygodniej rozwijać przemysł jakiegoś obcego kraju i kapitały będą emigrować. Tym sposobem dane społeczeństwo pozbawia się nawet tej względnej korzyści ze swoich wysiłków, zużytych na zdobycie pieniędzy, jaką daje istniejący system organizowania się produkcyi — możności rozwoju. Ażeby módz dalej się rozwijać, będzie ono musiało znowu oddać pewną ilość pracy na zdobycie pieniędzy, co nie zwolni wcale jeszcze od obowiązku wytworzenia sobie również rozmaitych produktów, potrzebnych do wznoszenia danych instytucyj, jak materyały, maszyny, żywność dla robotników itd., nie uwolni zatem *od jedynie niezbędnego* wydatku pracy.

Te właśnie czynniki są powodem, że produkcya współczesna może się rozwijać względnie bardzo powoli. Między spożyciem a środkami, jakie zdobyć można za pomocą wytwarzania i wymiany, istnieje ścisły związek i gdzie pierwsze jest mało, tam i drugie będzie mało pomimo ogromnego wzrostu wytwórczości pracy ludzkiej. Na produkcyi dzisiejszej ciąży klątwa upośledzonych. Nawet kraje przodujące w rozwoju, jak Anglia, mogą zdobyć dla siebie za pomocą przemysłu i handlu tylko niezbędne środki istnienia, określone skalą życiową mieszkańców. Rozszerzenie się zakresu produkcyi postępować może jedynie w miarę ustępstw, czynionych spożywcom danego kraju.

Rynki więc istnieją jako zło konieczne, zapobiegające większemu. Ich zadaniem historycznem wobec danego kraju jest cza-

sowe łagodzenie klęsk względnego nadmiaru bogactw i uzyskanie źródeł potrzebnego dopływu pieniędzy. Takie jednak znaczenie ich z biegiem czasu się zmniejsza. Z jednej strony rynki się wyczerpują, a ilość ich nie jest nieskończoną, z drugiej zaś w łonie społeczeństw kapitalistycznych zachodzą pewne zmiany, którym ulega również i przedmiot walk rynkowych — pieniądze. Pieniądz uważany był przez wielu za pokornego służkę przemysłu, który kurczy się lub rozpręża w miarę jej potrzeb, podczas gdy właściwie jest to władca, panujący nad produkcyą z żywiołową potęgą. Nowe jego formy papierowe pozwalają już na wytryskiwanie źródeł dopływu pieniężnego wewnątrz kraju, a rozszerzanie się ich pozbawia coraz bardziej dane rynki charakteru kniei, w której się poluje na pieniądze, i pozwala tylko na *wymianę*, ale nie *sprzedaż* dla pieniędzy (z powodu spadku ich wartości za granicą). W przyszłości pieniądze te mogą przystosować swoje pojawienie się do potrzeb rozwoju produkcyi, wobec czego pozostałoby tylko dalszemu rozwojowi nawiązanie łącznika między wytwórczością i spożyciem, a wówczas rynki posiadałyby znaczenie jedynie dla wymiany jakichś wyłącznie miejscowych produktów, lub takich, które z powodu pewnych sprzyjających warunków przyrody w danem miejscu o wiele łatwiej jest wytwarzać.

P. K.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Przesilenie węglowe. W Charkowie zwołano zjazd przemysłowców górniczych z południa Rosyi dla naradzenia się w sprawie grożącego przesilenia zwyżkowego w produkcyi węgla. Według *Petersb. Wied.* mogą powtórzyć się wypadki z 1888 i 89 r., kiedy ceny dosięgły 30—40 kop. za pud, wskutek czego niektóre fabryki zmuszone były zawiesić działalność. Nauczeni doświadczeniem fabrykanci zwrócili się do p. ministra finansów, prosząc o zastosowanie środków zaradczych. „Przesilenie obecne — pisze wzmiankowany dziennik — można tym razem objaśnić usunięciem się robotników z kopalń wskutek urodzaju i zapotrzebowania rąk. Należy jednak dodać, że podobne wypadki powtarzają się prawie co roku i zawsze znajduje się jakaś słuszna ich przyczyna, chociaż osoby interesowane mogą zawczasu temu zapobiegać. Taka nieoględność wynika w znacznym stopniu stąd, że wszelkie jej następstwa przygniatają barki spożywców, wytwórcy zaś najczęściej zgarniają jeszcze zyski. Zmniejszenie ilości kredytu powoduje zwykle odpowiednią podwyżkę ceny, przyczem pozostaje pewna reszta na rzecz producenta. Można więc przypuszczać, że „przesilenia“ urządzane są czasem sztucznie, co łatwo wykonać. Aby jednak wytwórcy stali się nieco oględniejsi, wystarczy przeniesienie na nich części strat, ponoszonych przez całkiem niewinną ludność. Niechby tylko zniżono cło od węgla zagranicznego, któryby w chwilach „przesileń“ zaczął napływać na rynki wewnętrzne, miara ich stałaby się odrazu mniejszą. Nie należy zapominać, że od obfitości opału zależy dobrobyt ludności i rozwój wielu gałęzi przemysłu, których interesy podporządkowane są obecnie nadmiernemu apetytowi wytwórców węgla.“

— Cukrownia w Opolu wypłaca za ubiegłą kampanię 25% dywidendy, pomimo że trzech członków rady zarządzającej otrzymało ją w sumie 11,000 rs., dyrektor zaś 5,600.

— Kolej konna Wilanowska, według *Gaz. losowań* może dać dywidendę w rozmiarze zeszłorocznym 10%.

— Otwarto w Wiedniu międzynarodowy targ zbożowy.

— Magistrat warszawski przywraca wzbroniony od niedawna handel uliczny, poddając go ścisłej kontroli służby miejskiej.

— Na kolei Fastowskiej zaczęto wydawać na rachunek banku państwa zaliczki na zboże.

PRASA RUSKA.

Warsz. Dniewnik pisze (według *Wicku*) (dokończenie):

„Oprócz tego Rosya z jej ludnością 100-milionową i z nieobjętymi obszarami stanowi takie ciało polityczne, iż żaden bufor nie wytrzyma jej nacisku. Gdyby zaś Niemcy chciały trzymać się teoryi buforów, pod którą polityka angielska ukrywa swoją niemoc, w takim razie postarałyby się o wzmocnienie tego buforu za pomocą zaludnienia go rdzennymi niemcami, przywiązanymi szczerze do ojczyzny niemieckiej, niżby miały oddawać go w ręce polaków, którzy *à la longue* nie mogą być dla Niemiec pewnymi sprzymierzeńcami. Należy pamiętać, że Niemcy cierpią w przeciwstawieniu do Rosyi na nadmiar ludności, przy jednoczesnym braku obszaru terytoryalnego i dla tego muszą pomimo woli usuwać całe dziesiątki tysięcy emigrantów po za granicę, którzy zaludniając Amerykę, na zawsze giną dla ojczyzny niemieckiej. Aby zapobiedz złemu, Niemcy rozpoczęły prowadzić ryzykowną politykę kolonialną, która dotychczas nie przyniosła im nic więcej, prócz strat i gorzkich rozczarowań. A zatem, gdyby Niemcy miały nieostrożnie rozszerzyć swe granice na koszt Rosyi, to zawsze na mocy fatalnego, żelaznego prawa swego rozwoju wewnętrznego nie mogłyby, gdyby nawet chciały, ofiarować polakom nowonabytych terytoryów, ponieważ te byłyby przedewszystkiem potrzebne im samym, jako najbliższy i bezpośrednio przylegający do nich rezerwuar, służący do upływu nadmiaru własnej ludności.

Ale samo nabycie tych obszarów byłoby, jak to już powiedzieliśmy, fatalną nieostrożnością i błędem, za który same Niemcy musiałyby z czasem drogo zapłacić. Mając już jedną „irredentę,“ francuską, na swych granicach zachodnich, Niemcy nie odważyłyby się stwarzać sobie drugiej na granicy wschodniej. Pomimo całego swojego dyletantyzmu politycznego, dzisiejsi kierownicy Niemiec wcale nieźle znają historyę, wiedzą oni, że Rosya za dawnych czasów niejednokrotnie podlegała poważnym amputacyom terytoryalnym, ale takie operacye nie mogą być dla niej śmiertelnemi na mocy naturalnego wzrostu jej środków ekonomicznych i jej ludności, dla której w przyszłości posiada jeszcze w zapasie obszerne i bogate obszary terytoryalne, skąd też podniósłszy się po każdym pogromie, Rosya powracała, powraca i niewątpliwie powracać będzie do pierwotnego stanu. Takie są *realne* przeszkody, stojące na drodze do urzeczywistnienia polskich zamków na lodzie. Ale są jeszcze i przeszkody *idealnej* natury. Przyszła wojna europejska, jeżeli wogóle taka wojna kiedy nastąpi, będzie śmiertelnem starciem nie dwóch państw, lecz dwóch światów, dwóch grup plemiennych z ich specyalną kulturą i ideami kierującemi — świata germańskiego i słowiańskiego (w osobie Rosyi).

Germanizm oddawna prowadzi zaciekłą walkę materyalną i moralną ze słowiańszczyzną i gdyby polacy umieli korzystać z nauk historyi, wówczas znaleźliby w swej własnej przeszłości mnóstwo faktów, świadczących jaskrawie o tem, że nie mają więcej zaciętego wroga, jak właśnie niemców. Całe Prusy rozwinęły się na cmentarzysku słowiańskiem; ludność polska jest prawie wyniszczona w pruskim „zaborze,“ a jeżeli teraz rząd pruski zaczyna schlebiać marnym epigonom polskim, to cała ta operacya robi smutne wrażenie galwanizowania trupa. I w tym to z dawien dawna stwierdzonym wrogu nietylko polonizmu, lecz i całej słowiańszczyzny, polacy pokładają teraz swoje nadzieje i od tego tępiciela świata słowiańskiego oczekują swego odrodzenia i nowego życia politycznego!

Jakież to nędzne, niebezpieczne i szkodliwe marzenia!

Polacy nie powinniby zapominać, że manewra tego rodzaju nieraz już doprowadziły ich do najsmutniejszego rozczarowania i pogarszały ich położenie. Nie zaszkodziłoby wodzom politycznym polaków pruskich przypomnieć sobie i wziąć pod rozwagę głęboką prawdę, mieszczącą się w przysłowiu ludowem: „Póki świat światem, nie będzie niemiec polakowi bratem,“ a tem mniej jego dobroczyńcą. Czyż nie lekkomyślne zaufanie do niemców i przyjaźń z nimi, dochodząca do powoływania na tron polski elektorów niemieckich, były jednym z pierwszych kroków, które doprowadziły do ciężkiej zbrodni samobójstwa politycznego, które polacy spełnili nad sobą? Jeżeli zwiędła z własnej winy gałęź potężnego lecz nie zupełnie rozwiniętego drzewa słowiańskiego, ostatecznie uschnie i zginie pod siekierą niemiecką, to winni temu będą sami polacy. Słowa: *Point des rêves, messieurs*, nabierają znaczenia realnego. Polacy powinni rozumieć, że przeszłość minęła bezpowrotnie i że, oczywiście, nie niemcy mogą ją wskrzesić. Jeżeli zaś polacy będą systematycznie płynąć przeciw ogólnemu prądowi słowiańskiemu, wtedy grozi im niebezpieczeństwo zupełnego zatonięcia w błocie niemieckiem.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Władze pruskie zawiadomiły, że przebywać granicę wolno tylko w Strzałkowie, Pogorzelicach, Skalmierzycach i Podzamczu. Podróżni poddawani są oględzinom lekarskim. Emigranci z Rosyi i osoby, których stan zdrowia budzi podejrzenia, wstrzymani będą na granicy aż do dalszego rozporządzenia.

— Ministeryum spraw wewnętrznych po porozumieniu z ministeryum skarbu postanowiło znieść organizacye cechowe w gubernii grodzieńskiej, kowieńskiej i wileńskiej, wzamian zaś utworzyć w Wilnie, Grodnie, Kownie i Białymstoku urzędy rzemieślnicze. (*Now. wr.*).

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnej pomocy byłych wychowańców wyższych zakładów naukowych rolniczych.

— Niewolno będzie po wsiach pokrywać słomą dachy na budynkach mieszkalnych i gospodarskich. Dla ludzi ubogich proponowana jest papa, składająca się z gliny, słomy i wrzosu. (*Kur. warsz.*).

— Rozpoczęto wypłatę pozostałego po zniesionej kasie zabezpieczenia rzemieślników i robotników warsztatowych na kolei Warsz.-Wiedeńskiej funduszu pomiędzy byłych członków. Kapitał 57,000 rs.

Szkoły. Z rozporządzenia władzy wstrzymano w seminaryach nauczycielskich egzaminy na stopień nauczycielki początkowej.

— Gimnazyum I w Warszawie, z powodu nieukończonej przeróbki mieszczącego je gmachu Staszyca, otwarte będzie dopiero 1-go października.

Zdrowie publiczne. W drugiej połowie sierpnia cholera zaznaczyła się w 31 guberniach i obwodach państwa. Najsilniej zaatakowana gub. kijowska, gdzie od 13 do 19 sierpnia, zachorowało 678 osób, zmarło zaś 227. (*Praw. wiest.*).

— W okręgu Królestwa zajęte są przez epidemię gub. kaliska i łomżyńska; w warszawskiej dostrzeżono dotychczas jeden wypadek. W Galicyi pojawia się w rozmaitych miejscach, w Poznańskiem sprawdzono jej pojawienie się. Na przestrzeni Europy pokazuje się w rozmaitych miejscach, ale ze znacznie mniejszą siłą niż w roku zeszłym. Na parowcu włoskim, wiozącym emigrantów do Brazylii zmarło 115 osób. Zawleczenie epidemii na grunt amerykański, wobec gorącego klimatu w południowej jej części mogło by wywołać wielkie spustoszenia.

— W gubernii wołyńskiej, podolskiej i besarabskiej ustanowiony kordon sanitarny.

Konkurs. Zarząd miejski Kienburga pod Wrocławiem ogłosił konkurs na plan parku, zakładanego w mieście tem na przestrzeni czterech morgów. Nagroda za najlepszy projekt 2,000 marek.

Wypadki. Na stacyi Chrystynówce linii Humańskiej zamoczono 90 wagonów cukru.

— Między Równem i Zdołbunowem spotkały się dwa pociągi towarowe, wskutek czego zdruzgotało się przeszło 20 wagonów i uszkodzony został tor kolejowy. Ofiar w ludziach nie było, gdyż służba tych pociągów powyskakiwała zawczasu.

— W powiecie hrubieszowskim w czasie burzy 17 sierpnia zginęło od piorunów 11 osób.

— W komitatach Torda i Aranyor na Węgrzech środki zaradcze przeciw cholerze wywołały zamieszki, w czasie których zburzono szpitale w Mikes.

— W pobliżu wysp Filipińskich zatonął wskutek pożaru okręt hiszpański: zginęło 50 osób.

Dobroczynność publiczna. Zatwierdzono zapisy: A. Popławskiego 3,200 rs. na powiększenie funduszu wieczystego schronienia dla nauczycielek i J. Wernera przeznaczający na cel powyższy 5,000 rs. oraz takąż sumę na rzecz schronienia starców i sierot gminy ewangelicko-augsburskiej.

— Dla dotkniętych powodzią w Galicyi, Bukowinie i Tyrolu rząd przeznaczył 240,000 zlr.

Sprawy kolejowe. Zarząd kolei południowo zachodnich po uzyskaniu zezwolenia rządu, prowadzi układy z właścicielem linii od stacyi Kamienica do Krzemieńca o sprzedaż tej gałęzi.

— Ministeryum dóbr państwa wprowadza na wszystkich kolejach nowy przepis o zaspokojaniu pretensyi osób, wysyłających towary. Niezwłoczne rozstrzyganie takich spraw postanowiono przyjąć jako zasadę; dotychczas ciągnęły się one nieraz całe lata. (*Now. wr.*).

Komunikacye. Postanowiono budowę kolei konnej z Żytomierza do Berdyczowa. Oprócz osobowych, będą kursowały również tramwaje towarowe.

— W Warszawie zjawią się wkrótce tak zwane „transkarsy“ — omnibusy zbudowane na sposób tramwajów, których nizkie koła przystosowane są do jazdy bez szyn. Kursować mają po ulicach, przez które nie jeżdżą tramwaje. Interesem zajmuje się towarzystwo belgijskie (nie tramwajowe).

Wynalazki. Firma braci Thonet w Noworadomsku stara się o patent na płaską, wyplataną obręcz do zamiany uszkodzonych oparć i siedzeń w meblach giętych.

— Młody malarz z Warszawy, p. Beckman, wynalazł w Monachium nowe farby do malowania obrazów, posiadające zalety techniczne i siłę kolorytu, a tańsze od olejnych. Wynalazca postarał się o patent. Tymczasowo fabrykuje sposobem domowym. Malarze monachijscy, jak Leubach i Udhe, zwrócili się do wynalazcy z zamówieniami.

Bibliografia. E. Majewski. *Słownik nazw zoologicznych i botanicznych polskich*, zeszyt XVII.

— *Encyklopedya rolnicza*, wydawana przez Muzeum przemysłu i rolnictwa, zeszyt XXVII.

— *Facet* kalendarz humorystyczny *Muchy* na r. 1894.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Aurelii K. Pisze nam Pani o swoich chęciach, zamiarach, położeniu, a nie o talencie. Tymczasem on tylko mógłby Pani zdobyć prawo i wskazać drogę do literatury. Naturalnie my jego istnienia z listu odgadnąć nie możemy.

Pani Jadwidze z Lublina. 1) nie, 2) nie.

— Młody człowiek, życzący wykształcić się w fabrykacyi kortów i wogóle poznajomić się z fachem tkackim praktycznie i teoretycznie, może zgłosić się do powiadomienia o bliższych warunkach: Hoża Nr. 14, mieszk. Nr. 2, pomiędzy godz. 10-tą a 12-tą.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Августа 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.